

Nazywam się Gerlach Rodycjusz, mieszkam w Lubusku przy ulicy "Walki Młodych" 1/3. Chcę przedstawić moją relację z wywózki i pobytu na Syberii w latach 1940-1946. Do dnia 10 lutego 1940r. mieszkałem z rodzicami i rodzeństwem we wsi Mazury powiat Podchajce, woj. tarnopolskie. Rodzice pochodzą z dawnego woj. rzeszowskiego, ściśle z Odrzykonia. W ramach parcelacji ziemskiej, ojciec otrzymał 10 hektarów ziemi we wsi Mazury. Nie otrzymał jej za darmo. Pamiętam, że komornik był częstym gościem w naszym domu. Kiedy dostał pole musiał się sam wybudować, i dopiero potem zająć się gospodarką. Do najazdu Bolszewików na Polskę we wrześniu 1939r. gospodarka nasza była dość dobrze urządzona. Mieliśmy szescioizbowy dom w tym duża sieni i kuchnia, mieliśmy stodołę, stajnię, chlewnię, kurnik, szopy i temu podobne. Żyliśmy względnie dobrze. W polu miał kto robić, gdyż część rodzeństwa była już dorosła. Ja miałem 13 lat i chodziłem do 6 klasy szkoły powszechnej w Podchajcach. Rodzina nasza była bardzo liczna, w 1939r. było nas 12 osób. Byli to Gernach Józef - mój ojciec urodzony w 1882r., mama Anna, urodzona w 1880r., i rodzeństwo: brat Stanisław, siostra Zofia, dalej Franciszek, Józefa, Bronisława, Antonina, Tadeusz, Rodycjusz, Bolesław i Alojzy najmłodszy z nas. Dwoje z tych osób tu wymienionych tj. brat Franciszek i Aleksander nie byli wywiezieni na Sybir, bo Franciszek w tym dniu akurat leżał w szpitalu w Podchajcach, a Aleksander był w wojsku i był ranny, w bitwie nad Bzurą. Oprócz tych osób, które wymieniałem, dwoje rodzeństwa było już poza domem. Helena mężatka i Władysław - tonaty. Mieli swoje rodziny, ale mieszkali w tej samej wsi co i my. Ojciec był działaczem Stronnictwa Ludowego z tego powodu w naszym domu bywały narady chłopów, i ja byłem mimowolnym ich uczestnikiem. Byliśmy i jesteśmy Polakami, byliśmy i jesteśmy katolikami. Okolice Podchajec to Podole. Kraina przepiękna, pagórki, czarnoziem. Mimo młodego wieku, pamiętam

doskonale moją rodzinną wieś, każdą drogę, ścieżkę. Wydaje mi się, że jeszcze dziś nawet w noc, trafiłbym do domu w Mazurkach, do szkoły, do kościoła. Nie to jest jednak tematem moich wspomnień. Nie daleko od naszego domu przebiegała szosa. Z Brzeżan przez Podchajce i dalej w kierunku południowym do Zaleszczyk. Pod koniec sierpnia i aż do połowy września 1939r. szosą tą jechało bardzo dużo samochodów osobowych. Ojciec mówił, że panowie z Warszawy uciekają, że oddają "nie tylko guzk, ale i płaszcz". Szło również wojsko na południe. Dla nas chłopaków była to wielka frajda, tyle samochodów, wojska, ruchu, nie widzieliśmy dotąd nigdy. Biegaliśmy na szosę oglądać te dziwy. Starsi, w tym także ojciec, jak to wynikało z jego (zapamiętanych przeze mnie) wypowiedzi, zdawał sobie sprawę z tego, że grozi nam wojna. Polska - jak mówił, znowu będzie musiała walczyć o swoje istnienie. Nie trzeba było długo czekać. Jak wiadomo, 1 września Hitler, Niemcy napadli na Polskę. Mieliliśmy w domu radio na słuchawki, takie kryształkowe, zrobił je parę lat temu mój starszy brat Władek. Słuchając tego radia (Lwów wtedy nadawał), mieliśmy jako takie informacje co Słania wiecie dzieje. Jak każdego dnia, tak i teraz 17 września poszedłem do szkoły. U nas na Podolu był prawie spokój jeśli nie brać pod uwagę komunikatów radiowych, typu: "koma 6 przeszedł". Po lekcjach wyszedłem ze szkoły, kierując się w stronę domu. Gdy doszedłem do skrzyżowania ulic, zauważyłem, że po obydwu stronach chodnika stoją ludzie. Stałem i ja. Po krótkiej chwili nadjechały samochody z sowieckimi żołnierzami i wieźli też jakieś ładunki. Samochody te kierowały się w stronę stacji kolejowej. Dokąd jednak jechały nie wiem. Kiedy te samochody przejeżdżały obok tego tłumku, to wiele osób biło brawa. Nie wiedziałem o co chodzi, stałem i przyglądałem się nadal. Z rozmowy jaką prowadzili starsi na chodniku, zapamiętałem, że brawo biją Żydzi i Ukraińcy.

Gdy samochody przestały jechać, poszedłem do domu i opowiedziałem ojcu co widziałem. Pamiętam, jak patrzył na mnie znieruchomiały. Powiedział tylko "Boże co to będzie? To z nami koniec". Nie potrafię powiedzieć co te słowa miały znaczyć, czy chodziło o to że koniec z Polską, czy o to, że koniec z nami mieszkańcami Mazur, dziś wiem, że nie było w tym dużej różnicy. W obu przypadkach świadczyło to samo. Przez jakiś czas, nie pamiętam jak długo nie chodziłem do szkoły. Gdy do niej wróciłem, czułem się zle. Chodzi o to, że lekcje odbywały się w języku ukraińskim, choć nauczyciele (z niewielkimi zmianami), dyrektor i jeszcze kilku byli ci sami, to jednak chłopcy Polacy czuli się obco. Pamiętam np. lekcję geografii pani Szppowa pytała mnie, nimo, że z językiem ukraińskim byłem oswojony, to jednak nie wiedziałem o co chodzi, jak to powiedzieć, gdyż odpowiedź też musiała być po ukraińsku. Po takich lekcjach nie chciałem chodzić do szkoły. Jednak decyzja ojca była jednoznaczna - macie się uczyć. Do szkoły w Podhajcach tego roku chodziło nas czworo i to do samego końca pobytu w Mazurach. W miesiącach listopad-grudzień 1939r przychodził do nas cywilny urzędnik sowiecki do domu z jednym mieszkańcem z naszej wioski. Był to miejscowy szewc, który nazywał się Nenycz. Z jego synem chodziłem razem do jednej klasy. Otóż ten urzędnik, nie wiem kogo reprezentował, czy chodziło o NKWD, przeprowadzał spis mieszkańców wioski. Pamiętam, że zapisywał każdego członka rodziny imiennie, datę urodzenia, miejsce, zawód i inne dane. Spisy takie przeprowadzane były kilka razy. Nie przypominam sobie, czy była w domu rozmowa, czemu mają służyć te spisy. Czuliśmy jednak, że nic dobrego z tego wyniknąć nie może.

#### DEPORTACJA.

Zima 1939r na 1940 była sroga. śniegi duże, zaspasy sięgały 2 i

więcej metrów. W piątek 9 lutego 1940r byłem jak co dzień w szkole. Był to normalny dzień na wsi- obrządek w oborze, praca koło domu. Wieczór zapadał wcześnie, lampa naftowa przycmiona, bo były kłopoty z naftą. Kiedy wszystkie bierzące roboty były wykonane, poszliśmy spać. Było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy obudziło nas głośne walenie w drzwi. Dobijanie do drzwi powtarzało się kilka razy. Ojciec wstał, ubrał się i poszedł otworzyć. Po cawili do izby gdzie spałem z rodzeństwem, wszedł oficer, jak się później okazało, oficer NKWD, w mundurze oraz 3-4 ukraińskich milicjantów. Ci ubrani byli po cywilnemu, mieli czerwone opaski na ramieniu lewej ręki. Na ramieniu mieli karabiny. Chociaż w domu nikt już nie spał, nie wstawaliśmy. Ubrał się tylko tato, myśmy myśleli, że chodzi tylko o niego. NKWD- sta widząc to powiedział: "Wście wstawajcie", pokazując na kanapę gdzie spaliśmy. Ukraińcy pamiętam, jak coś tam rozmawiali z ojcem, bratem i wskazywali na odzież. Rosjanin biegał z izby do izby i coraz głośniej wołał: "wsie bystra sobirajcie sie:". Zaczęliśmy się ubierać, cóż można było zrobić, nadal nie przeczuwając losu jaki miał nas czekać. Pamiętam, że jak już byłem ubrany, zacząłem pakować do torby książki, zauważył to milicjant-ukrainiec i powiedział, że to nie będzie mi potrzebne, zostawiłem je. A szkoda, bo jak się później okazało, bardzo by się te książki przydały. Nie mieliśmy bowiem ani polskich książek, ani papieru do pisania listów. Wyjątek stanowiła książeczka do modlitwy. W domu zrobił się ruch, no bo wszyscy już wstali. Do tego doszli nasi nie proszeni goście. Ojciec chciał się dowiedzieć coś więcej od milicjantów, ale oni nie chcieli z nim rozmawiać. Nie wiem, czy się bali NKWD-ty, czy nie chcieli nic mówić. Chciał wyjść na podwórko, aby zobaczyć co się dzieje u sąsiadów, po dość długich targach, że musi wyjść za własną potrzebę, NKWD- ta pozwolił ojcu wyjść, posyłając za nim milicjanta.

Zabudowania nasze i sąsiadów były tak usytuowane, że można było z podwórka zobaczyć co się u nich dzieje. Po powrocie ojca do domu, zwołał nas wszystkich do jednego pokoju i opowiedział co widział. Otóż przy naszym domu stały obce, zaprzęgnięte w sanie konie, u sąsiadów tj. u Szłapy Józefa, Franciszka Szłapy, Magusiaków, też stały obce sanie, furmanki. Tata powiedział: "będą nas wywozić, pakować co się da". Dopiero wtedy zaczął się ruch na dobre. Starsze rodzeństwo pakowało do skrzynek co było pod ręką, w tobołki wiązali pościel i odzież. NKWD - ta ponaglał bystri, bystri". Milicjanci - Ukraińcy patrzyli nam na ręce, ale nie mówili. Gdy już było dość widno, oficer zaczął sprawdzać listę. Zaczął wyczytywać imiona domowników. Wówczas okazało się, że nie ma brata Władysława z rodziną, mieszkał on bowiem w odległości 1 km od nas, w swoim domu postawionym 2 lata temu. Pozostawił milicjantów u nas a sam z dwoma Ukraińcami, pojechał saniami po Władka. W tym czasie nadal wiązaliśmy tobołki. Na strychu wisiała świeżo prana bielizna i zamarznęta. Zosia przyniosła ją do domu. Gdy tylko można było ją poukładać (była mokra), zawiązała ją w tobolek. W czasie gdy nie było oficera, wychodziliśmy do stajni i widzieliśmy furmanki od sąsiadów do których już pakowano rzeczy. Tata kazał dać koniom i krowom jeść, co zostało zrobione pod nadzorem milicjantów,

MAMA..

Ta nasza najukochańsza istota, na wieść, że mają nas wywozić, że mamy opuścić dom, dobytek i jechać w nieznane, została jakby sparaliżowana, nie brała udziału w pakowaniu rzeczy w kierowaniu sprawami co jest ważniejsze, co potrzebniejsze, co kto ma robić. Patrzyła na nas zażwionymi oczami i nie mówiła nic. Pamiętam doskonale jak zdjęła obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy

i w ciszy wpatrywała się w niego. Mimo prób ze strony starszego rodzeństwa, aby się pakowała i ubierała, to jednak nie uczyniła tego. Wszystkie te sprawy pozostawiła nam i ojcu. Stało się tak, nie dlatego, że nie chciała nic robić, mama po prostu nie mogła. Wynikało to z jej późniejszego wypowiedzi, ale można było to odczytać w tej bolesnej dla nas i dla niej chwili. Kiedy nas przecież urodziła i wychowała, kiedy tyle pracy potrzeba było od chwili przybycia w okolice Podchajec, przecież przyjechała na puste pole, trzeba było zaczynać od budowy obory, domu, stodoły i chlewni i innych pomieszczeń, trzeba było zaopatrzyć dom w potrzebny sprzęt i tym podobne inne rzeczy, od czasu przybycia do Mazur w 1921r do dnia dzisiejszego nie miała odpoczynku. Mieć go nie mogła bo jak? Każdy kto rozumie co znaczy wychować taką gromadę dzieci, to znaczy praca w polu z sierpem, co znaczy praca w stodole i w oborze, ten musi przyznać, że nasza mama nie była kobietą przeciętną. Otóż ta kobieta po tylu latach trudu mogła powiedzieć "teraz będzie łatwiej", "będę mogła trochę odsapnąć". W jednej chwili zrozumiała, że wszystkie wyrzeczenia, cały dorobek jej życia przestał istnieć. Ta smutna prawda nie dawała jej spokoju, nawet w dalekiej tajdze. Podczas nieobecności NKWD-ty, siostry wydoiły krowy i na śniadanie jedliśmy chleb z mlekiem. U nas chleb był wypiekany raz na tydzień, był więc świeży zapas, bo nie dawno był wypiek. Wszystek ten chleb zabraliśmy ze sobą. Po nad godzinę nie było u nas nadzorującego oficera. Przyjechał do nas tymi saniami, które stały przed naszym domem, ale już z Władkiem jego żoną Marysią i synkiem Marianem. Zaraz zaczął krzyczeć: "dawaj, dawaj bystra". Okazało się, że nie ma dla nas sań. Widzieliśmy, że sąsiedzi ładują swoje toboły na sanie w pośpiechu na rozkaz NKWD-ty, starsze rodzeństwo zaczęło rozładowywać nasze sanie na których znajdowało się przy-

wiezione poprzedniego dnia drzewo. Do tych sani kazał zaprzęgać nasze własne konie. Zaczęło się ładowanie spakowanych rzeczy do sani. Pamiętam, że przy tej operacji stał NKWD-ta i nie których tobołów nie pozwolił brać. Do worka była naładowana mąka. Ten drań nie pozwolił jej również zabrać. Mówił "nie nada, tam wsio pałuczytie". Co to było to "wsio" i "tam" dowiedzieliśmy się w niedługim czasie. Zosi, chociaż oficer krzyczał "nie! zia!" udało się wziąć gramofon-dobre i to, chociaż były inne przedmioty bardziej potrzebne. Gdy już wszystko co można było zabrać poukładane było na saniach, można było stwierdzić, jak tego jest niewiele. Cały dobytek 10 ha gospodarstwa i 12 osób mieści się na jednych saniach. W każdym razie zabraliśmy rzeczy potrzebne, lecz nie wszystkie. Z tego co zapamiętałem, to na nasze sanie zmieściły się takie rzeczy jak: pościel w tym 2-3 pierzyny, parę Kocy, bielizna, jakieś ubrania. Była przecież zima i musieliśmy się dobrze ubrać, nakrycie stołowe, trochę cukru, inna żywność, garnki, no i ten gramofon z kilkoma płytami, kilkumetrowy chodnik swojej roboty. To wszystko. Była już chyba godzina 9, kiedy opuszczaliśmy rodzinny dom. Sanie ruszyły a my wszyscy pieszo za nimi. Zaczął się głośny płacz. Płakaliśmy wszyscy, ktoś z nas spuścił z uwięzi psa, jeszcze jedno ostatnie spojrzenia na rodzinne gniazdo i w drogę. NKWD-ci mieli chyba umówiony czas wyjazdu, bo w tym samym czasie dał się słyszeć płacz i lament u sąsiadów. Ich sanie też ruszyły i w ten o to sposób cała wioska została bez ludzi. Wiesz widmo, domy pozostały nie zamknięte, stajnie półotwierane a w nich konie, bydło i inna zwierzyna domowa. Co się z tym dobytkiem stało, niestety nie wiem. Znając jednak sposób gospodarowania przez Sowieców, domyślałem się, że część rozkradli mieszkańcy okolicznych wiosek, reszta jako kułackie została zniszczona. Opodal naszych zabudowań płynęła mała rzeczka. Do stacji kolejowej

należało przejechać przez most kolejowy, znajdujący się na początku wioski. Wszystkie furmanki zmierzały w tym właśnie kierunku. Za mostem, droga w lewo prowadziła do oddalonego od nas Litwinowa, zaś w prawo do stacji kolejowej w Podchajcach. Myśleliśmy, że tam właśnie pojedziemy, lecz kiedy pierwsze sanie a za nimi następne skręcały w lewo, wszastkich ogarniało zdziwienie. Byliśmy tym zdziwieni, droga do stacji w Litwinowie prowadziła wzdłuż naszej wioski, w odległości 200m przedfilowaliśmy przed naszymi domami. Żal i smutek został dodatkowo spotęgowany. Niektórzy zatrzymywali się na chwilę i patrząc na zabudowania kiwali głowami, zdawało się, że mówią "o to los". W Litwinowie skierowano naszą kolumnę bezpośrednio na stację kolejową. Chyba po raz pierwszy ta mała stacyjka widziała w swojej historii takie mrowie ludzi. Okazało się, że nasza gromada nie jest jedyną spościliśmy tu ludzi z innych okolic. Na torach stał bardzo długi skład towarowych wagonów. Furmanki podjeżdżały w pobliże wagonów. Oficerowie NKWD razem z ukraińskimi milicjantami, tymi samymi którzy byli u nas w domu, i którzy konwojowali nas do Litwinowa, wydawali rozkazy do którego wagonu jaka rodzina ma wsiadać. Rodziny które miały większe bagaże, musiały je oddać do innego wagonu. Nasze bagaże znalazły się razem z nami w jednym wagonie. Były w nim prycze zbite z desek, kto tylko mógł to wlaził na te prycze, innego rozwiązania nie było. Drzwiami wchodziłi nowi ludzie. Nie potrafię powiedzieć ile osób było w wagonie. Twierdząc że prycze były pełne, kto nie zmieścił się, stała podłódze wagonu, jeden obok drugiego. Było ciasno, wśród nas były małe dzieci, ale nie niemowlęta. Wsiadanie do wagonu trwało dość długo, dopóki drzwi wagonu były otwarte było widno w momencie ich zamknięcia na polecenie NKWD, okazało się, że w wagonie jest tylko jedno małe okienko. Kto stał w pobliżu tego okienka, to gdy



było ono otwarte, to widział co się obok niego dzieje. W końcu wagonu i na pryzkach było ciemno. Zaczęły płakać dzieci, starsi szukać swoich rzeczy, był zgwień. Nadszedł wieczór, ciemność była całkowita. Dopiero teraz zauważyliśmy, że przez cały dzień nie jedliśmy. Matki uciszały dzieci, czym je karmiły - nie potrafię opisać. Każdy z naszej rodziny dostał po kawałku chleba, ktoś zapalił świeczkę, nastąpiła pora załatwiania potrzeb, dopiero teraz zauważyliśmy, że nie ma ubikacji. Znalazła się u któregoś "lokatora" wagonu siekiera i dorośli wyrąbali w podłodze dziurę. Tak powstała ubikacja. Mimo, że był mróz, to ze względu na tłok w wagonie było dość ciepło. Były one zamknięte z zewnętrznej str. tak, że nikt od środka otworzyć ich nie mógł. Na stacji w Litwinowie przanocowaliśmy. Było już zupełnie widno, kiedy dołączano do wagonów parowoz, jeden z przodu, drugi na końcu składu. Pociąg był długi i widocznie jedna lokomotywa nie dała rady. Kto tylko mógł i miał czym to robił dziury w deskach wagonu, abyśmy tymi szparami mogli oglądać mijany świat, w ten sposób śgnaliśmy rodzinną ziemię. Jechaliśmy do Tarnopola. W Tarnopolu obok naszego pociągu stał inny pusty, jak się później okazało były to wagony sowieckie. Cały ten pociąg był przeznaczony dla Polaków-zesłańców. Kiedy nasz wagon otwarto, polecono nam przenieść się do stojących obok wagonów. Były one większe i kiedy ludzie przenieśli się do nich, to okazało się, że jest trochę luzniej, w całym wagonie były zrobione pryzce piętrowe, światła podobnie jak w poprzednich wagonach nie było. Jednak ze względu na to, że w obydwu połowach wagonu były metalowe okienka, które można było otwierać do wewnętrznej str. to dawało trochę światła, no i świeżego powietrza. Minusem było to, że było zimno, zwłaszcza tym którzy mieli miejsce tuż pod tym okienkiem. Z tego też powodu nie mogły być otwierane przez cały czas. Jednak wiedzieliśmy

przez jakie stacje przejeżdżamy. W wagonach do których nas załadowano w Tarnopolu, dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia. Była to podróż bardzo długa. Jak się okazało mieliśmy spędzić w tych wagonach 30 dni i nocy. W wagonie w którym my jechaliśmy było około 70 osób, były to całe rodziny od dziadków do niemowląt. Naszymi współlokatorami na pryczach byli nasi sąsiedzi z Mazurów, a więc Magusiakowie, Szopowie, Boronie, Szelastowie Lampartowie i Kołodziejowie. Oprócz tego w naszym wagonie były co najmniej 2 rodziny ukraińskie, nie znaleźliśmy ich przed tem, nie wiedzieliśmy kim są i za co są wywożeni. Była też rodzina Żydowska, którą znaleźliśmy, byli to Edmanowie, którzy mieszkali na początku naszej wsi. U Edmanów małych dzieci nie było, był natomiast dorosły chłopak, który znał język rosyjski. Oprócz tego miał jakąś mapę, co umożliwiło nam śledzenie, dokąd nas wiozą. Odczytując nazwę stacji i porównując ją na mapie, wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Nadchodziła noc, dzieci płakały, Sowieci jakby zapomnieli o nas, zamknęli wagony i postawili straż. Żołnierze z bagnietami na karabinach chodzili wzdłuż wagonów. Dziura w podłodze była tym razem przygotowana, nie było jednak żadnej zasłony, nie każdy mógł w takich warunkach załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Dopiero na 2-3 dzień ktoś z pasażerów zrobił zasłonę z koca. Tak urządzona ubikacja służyła nam przez miesiąc. W obydwu położach wagonów były żelazne piecyki i małe ilości węgla. Można więc było zaparzyć a nawet zagotować wodę. Przezorni-a było ich niewielu, mieli w naczyniach trochę wody. Tego wieczora nie dostaliśmy również nic do jedzenia. Żywiliśmy się jeszcze tym, co kto zabral z domu. Mama nasza dała nam znowu po kawałku chleba. Udało się uprosić kolejarza przez okienko, który dał nam trochę wody. Pierwszą noc spędziliśmy w Tarnopolu, na drugi dzień przyjechała sowiecka maszyna-parowóz. Przed południem nasz pociąg

ruszył. Kto tylko mógł cisnął się w pobliże okienek, aby poraz ostatni popatrzeć na stację. Widzieliśmy inne pociągi załadowane Polakami, ojciec poznał tylko jednego z nich, był to dyrektor szkoły w Podhajcach pan Teselski, zamieniał z nim tylko kilka słów, bo pociąg był już w ruchu. Tarnopol został ta nami, przed nami jazda na wschód, dokąd, jak długo, tego nikt nie wiedział. Od momentu wyjazdu z Tarnopola nie zatrzymywaliśmy się na stacjach, tego samego dnia dojechalismy do Podwołoszysk. Edman wiedział, że jest to ostatnia miejscowość po polskiej stronie granicy. Jechaliśmy dalej, pociąg zatrzymał się w Wołoszyskach, które leżą już po bolszewickie str. granicy. Wagony były wciąż zamknięte a wzdłuż chodzili uzbrojeni bojcy. Nikt nie pytał, czy czego nie potrzebujemy, nikt nam nic nie podał przez okienko. Bojcy chyba nie dopuszczali cywilów do wagonów. Po jakimś czasie ruszyliśmy dalej, pociąg zatrzymywał się tylko na większych stacjach i to nie na wszystkich. Przez cały dzień i noc nie dostaliśmy jedzenia i wody. Tak dojechalismy do Kijowa. W Kijowie na postoju, poraz pierwszy zostały otwarte drzwi wagonów. Jakiś oficer chodził od wagonu do wagonu i krzyczał "możecie iść gulat". Ten postój miał tę dobrą str., że umożliwił zaopatrzenie się w opał, ten który był w wagonie już się skończył i nie mieliśmy czym palić w piecyku. Zaopatrywanie w węgiel odbywało się na własną rękę, żadnego zorganizowanego zaopatrzenia nie było. Tak się szczęśliwie złożyło, że na przeciw naszego wagonu stał parowóz i maszynista nazrucił nam trochę węgla. Znalazły się też jakieś kawałki drzewa, ale to nie zmieniło faktu, że do tej pory nie dostaliśmy nic do jedzenia. Naszym cukrem trzeba było się podzielić z tymi którzy mieli małw dzieci, chleb nam się już kończył. Staliśmy w Kijowie kilka godzin, kiedy usłyszeliśmy nawoływanie aby wychodzić po jedzenie, z każdej rodziny z posudą.

Nie rozumieliśmy o co chodzi. Nie którzy mówili, że to jakiś podstęp, że chcą nas rozłączyć, nikt nie spieszył się do posudy. Po chwili wyjaśniło się, że chodzi o naczynie, że dostaniemy "sup" (zupę). Przy każdym wagonie stała grupka ludzi z naczyniami. Były to garnki lub wiadra. Padła komenda "za mnoj!". Ludzie z niedowierzaniem, ale poszli. Ci którzy pozostali w wagonie wyczekiwali na wiadomości. Trwało to dosyć długo. Od nas był Staszek przyniósł zupę i kawałek chleba, radość była wielka, byliśmy głodni od wyjazdu z domu nie ciepłego nie jedliśmy. W piecyku palił się ogień i ten sup można było zagrzzać. Mama podzieliła chleb i zabraliśmy się do jedzenia. Po raz pierwszy zaopatrzyliśmy się tu w wodę. Tego samego dnia pociąg ruszył w dalszą drogę. Kiedy byliśmy już za Kijowem, ktoś stwierdził, że drzwi wagonu nie są zamknięte, od tego czasu aż do kresu naszej podróży, wagony nie były zamykane z zewnątrz. Podczas postoju w Połtawie, kiedy komandir ogłosił "wyjść z posuda", stwierdziliśmy, że bojców jest mniej. Był to dowód na to, że w miarę oddalania są od Polski, nadzór zelżał. Teraz na każdym postoju, każdy kto chciał wychodził z wagonu. Jedni nie chcąc korzystać z dziury w wagonie, szukali ustronnego miejsca, inni zaopatrywali wagon w węgiel i drzewo. Przez całą drogę z Kijowa, krajobraz za oknami był raczej jednostajny. Nie było widać ani stacji, ani zabudowań. Jak trafił się jeden dom lub kilka, to jak najwięcej osób chciało je zobaczyć, nie wiedzieliśmy, że jeszcze tak długo będziemy jechać przez taką krainę. Następny postój był w Charkowie. Sytuacja na postojach (zwłaszcza w dużych miastach) powtarzała się, wyjście po zupę, zaopatrzenie się w opał i wodę i jazda dalej. Zawsze była to ta sama zupa, rzadki kapuśniak. Sowieci nazywali ją "szczy". Chleb zabrany z domu już się skończył, poza cukrem nie mieliśmy nic. Byliśmy zdani tylko na tą zupę. Pewnego

dnia podeszła do naszego wagonu kobieta,ipytała czy nie mamy polskich pieniędzy.Nie wiem ile,ale ojciec dał jej jakiś bi on i otrzymał za to ruble.Uprócz tych rubli ojciec miał jeszcze "czerwo" ,ruble pochodzące ze sprzedaży swiniaka od miejscowego żyda.Niwstety nie pamiętam wielu stacji kolejowych na których stawaliśmy,pamiętam natomiast,że często staliśmy gdzieś w czystym polu.Były to postoje różne w czasie-jedne krótkie inne długie.Z Charkowa droga prowadziła przez Wolonierz, Penzę i Kujbyszów.Któregoś dnia nie dostaliśmy nic do jedzenia.Wzieliśmy trochę cukru i popiliśmy wodą,byliśmy bardzo głodni.Po tych porcjach zup nie byliśmy syci,dostawaliśmy ją raz dziennie i to nie zawsze.Rodziny które miały przy sobie trochę mki piekły sobie placki.Dzielić się ty-mi plackami z całym wagonem nie mogli,no bo jak by to wystarczyło.Te przerwy w jedzeniu były tylko próbkami tego co nas w najbliższych latach czekało.Był to już 13-14 dzień podróży tymi wagonami towarowymi,pod wieczór tego dnia dojechalismy do Ufun,długo tutaj staliśmy ,ze stacji na wzgórzu było widać miasto,było oświetlone i widać było jeżdżące tramwaje.Na drugi dzień dostaliśmy zupę,po jej zjedzeniu wszyscy dostali biegunki.Przy dziurze w podłodze stała kolejka,niektórzy nie mogli się doczekać swojej i następował dramat.Chorowali ludzie też i w innych wagonach.Po jakimś czasie od wagonu do wagonu chodził jakiś człowiek i się pytał" czy są bolnyje"?Miał ze sobą w butelce ciemny płyn,każdy kto się do niego zgłosił,dostawał łyżkę tego płynu.Kolejka przy dziurze zmniejszyła się dopiero na 2 i 3 dzień.Aron Ednan mówił, że już nie długo a będziemy jechać przez góry Ural.Pewnego razu wyjrzałem przez okienko i wystraszyłem się,mój sąsiad zapytał się czemu jestem taki blady.Otóż,kiedy wyjrzałem przez okienko,nie zobaczyłem ziemi,po ochłonięciu zobaczyłem,że jesteśmy

w górach. Pociąg jechał po takich połkach skalnych, wydawało to się szczególnie groźne, gdy pociąg musiał pokonywać zakręty. Po minięciu wysokich partii gór, jechaliśmy dalej na wschód, ale góry były już mniejsze. Jazda przez Ural trwała długo, gdyż pociąg jechał powoli. Tak dojechaliśmy aż do Czelabińska. Kiedy pociąg stanął, starsi z różnych wagonów rozmawiali ze sobą. Dowiedziałam się wówczas, że w innych wagonach ludzie ciężko chorowali, nie było żadnej opieki lekarskiej. W którymś wagonie zmarło dziecko, nie było gdzie i jak go pochować. Rodzina zostawiła go obok wagonu na postoju. Nie brakowało zmarłych, przeważnie byliśmy głodni, ludzie chorowali, do tego doszła jeszcze jedna zaraza: coraz więcej było wesz, miał je każdy. Nikt nie mógł się od nich ochronić, bo na pryzach leżeliśmy jeden obok drugiego, nikt nie prał i nie parzył bielizny. W Czelabińsku udało się nam zaopatrzyć w opał, dano nam też trochę zupy i chleba. Chleb był coraz gorszy, nie chodziło o to że był ciemny, ale był wypiekany w takich foremkach i był bardzo ciężki, lepki tak, jak zakalec. Rosjanie nazywali ten chleb "kirpicz", czyli cegła. Po dalszych 5-6 dniach podróży dojechaliśmy do Omska. Po drodze minęliśmy Pietropawłowsk. Fakt, że wagony nie były zamykane a bajcy mniej strzeżyli, spowodował to że coraz częściej podchodzili do naszych wagonów Rosjanie i próbowali z nami rozmawiać. Ludzie ci byli ubrani biednie, przeważnie w kufajkach (waciakach). Tata zwrócił uwagę na to, że nie spotkaliśmy jeszcze człowieka który by się śmiał. Wszyscy ci napotkani ludzie byli jacyś przygnębieni, chodzili ze spuszczoneymi głowami. W Omsku staliśmy długo nocy i prawie przez cały dzień. Okazało się, że czeka nas nie spodzianka. Gdy już było zupełnie jasno kazano wszystkim wyjść z wagonów i to bez bagażów. Z naszego wagonu nie wyszła tylko jedna kobieta, jak

się potem okazało miała ona w tym swój interes, nie wyszła też staruszka Szłapowa, gdyż nie mogła leżeć na dolnej pryczy. Tuż przed wojną złamała nogę, lekarz jej ją nastawił i leżała na wyciągu w domu i w takim stanie została zabrana. Ta staruszka przetrwała wszystkie nie wygody podróży, dojechała do samej tajgi na Syberii. Kiedy już wszyscy zebrali się koło wsgonów-kazano nam iść w pierod. Droga prowadziła do miasta. Prowadzeni byliśmy środkiem ulic, mimo, że był to wczesny dzień, nie spotykaliśmy miejscowych ludzi. Nie wiem dlaczego, można się tylko domyślać, że podczas naszego przemarszu NKWD zabroniło wychodzenia z domów. Pamiętam jednak, że przed jednym z domów stało kilka osób w tym kobiety, jedna z nich krzyczała "kuda oni ich wiedut?". kolumna nasza się wydłużała się gdyż nie wszyscy mogli nadążyć za pierwszym rzędem. W pewnym momencie zauważyliśmy jak milicja rozgania ludzi zgromadzonych w kolejce i byliśmy świadkami sowieckiej rzeczywistości. Doszliśmy do dość dużego domu i tu grupami, oddzielnie mężczyźni i kobiety byliśmy wpuszczani do środka. Rosjania wyjaśnili nam, że nie ma czego się bać, że będziemy "kupatsia". Niepewność trwała nadal. Wszystko się uspokoiło kiedy pierwsza grupa wystąpiła z łaźni. Wszedłem i ja, jak mali chłopcy z dorosłymi mężczyznami. Były tu prysznice, małe cebrzyki i co najważniejsze ciepła woda. Jaka to rozkosz stać pod prysznicem lub polewać się ciepłą wodą po 20 dniach nie mycia się wcale. W naszej to grupie był Aron, on to właśnie najlepiej potrafił dogadać się z Rosjanami. Gdyśm się poro-zbierali ubrania nasze zostały zabrane, później okazało się, że nasza bielizna została zabrana do "woszobojki", jak Aron wyjaśniał Rosjaninowi, że u nas nie ma woszobojek, to na to obsługujący łaźnię powiedział do niego "wot bieda woszobojki nież, kak tu żyć bez woszobojki?". Czyżby ten człowiek nie wie-

dział, że można żyć bez wieszaków i bez tego "wynałazku" wieszakobójki? Kiedy unieśliśmy się przyniesiono nasze ubrania, rzucono na stertę, były gorące. Po wyjściu z łaźni trzeba było czekać na ostatnią grupę kąpiących się, niektórzy już zmarzli. Wróciliśmy w drogę powrotną. Byliśmy i zmarznięci i głodni, gdyż tego dnia nie jedliśmy jeszcze. Gdy byliśmy w wagonie podeszła do nas Rosjanka i zapytała czy nie mamy czegoś na sprzedaż. Zosia pomyślała o gramofonie, zastanawialiśmy się nad sukienką Józki. Mimo poszukiwań po wszystkich tobołkach, sukienki nie znaleźliśmy. Wszyscy wiedzieli, że jedna osoba nie była w łaźni. Po krótkich targach gramofon został sprzedany za kawałek chleba i kilka rubli. Nocowaliśmy w Omsku, rano dostaliśmy zupę i nie długo potem nasz transport ruszył w drogę. Teraz droga prowadziła przez dorzecze Irtysza i Obu. Teraz w drodze do Nowosybirsk nie widać było gór. Pociąg jechał długo przez biały śnieg, nie można było rozpoznać rzek, pól, bo wszystko było zasypane śniegiem, lasów było mało. Po 5-6 dniach dojechalismy do Nowosybirsk. Edman po zapoznaniu się z mapą, mówił, że Nowosybirsk jest ostatnią miejscowością z której istnieje możliwość skierowania nas na południe, bo tutaj jest węzeł kolejowy. Jedne tory prowadziły na wschód, drugie na południe. Również kiedy pociąg ruszył śledziliśmy przez okienka dokąd jedziemy. Naiwnie myśleliśmy, że wszystko będzie jasne, praktycznie dopiero na kolejnej stacji dowiedzieliśmy się, że jedziemy dalej na wschód. Dokąd dalej nas powiozą, w tych bydłujących wagonach, o głodzie i chłódzie, czy to jeszcze mało? Mielismy jeszcze jechać 5 dni. Droga prowadziła do Krasnojarska. Z tego odcinka drogi zapamiętałem dwie stacje: Tomsk, w którym staliśmy i Aszimsk. Patrząc na mapę widać, że do Tomsk skierowani zostaliśmy przez jakąś pomyłkę, myślę tak, gdyż aby dojechać do



Krasnojarsk nie trzeba jechać przez Tomsk. Przemawia za tym też długi postój, był on dłuższy niż na innych stacjach. Nie dano nam również zupy, także myślę, że jest to dowód na to iż ta miejscowość nie była przygotowana na nas przyjazd. Od Tomska dalej do stacji Asinon, byli wywożeni Polacy, ale z okolic Wilna. Był tam w tajdze mój kolega Witek Zawirski z rodziną. Trwali tam przy wyrębie lasu do 1942r., potem mogli przenieść się na południe do Altajskiego Kraju w okolice Barnaużu, ale i tutaj nie mieli lepiej, często było zimno, nie mieli co jeść. Miejscowi NKWD musieli chyba porozumieć się z Moskwą, bo dopiero wtedy nasz eszelon ruszył drogę. Ciepłą zupę dostaliśmy dopiero po przyjechaniu co Aczińska toś puścił plotkę, że tutaj będziemy wysiadać. Pociąg ruszył jednak w dalszą drogę. W ten sposób po 30 dniach podróży dojechalismy do ostatniej stacji. Była to podróż której nie da się zapomnieć, nie da się zapomnieć tych zup, kolacji na które składała się woda z rozpuszczonym cukrem, nie da się zapomnieć płaczu dzieci w wagonach, głodu, gryzących wiesz niedających nam spokoju, nieda się zapomnieć tego poniżenia człowieka i nie liczenia się z jego potrzebami, i to tylko dla tego, że byliśmy Polakami. Do Krasnojarska dojechalismy na wieczór. Pociąg nasz nie stanął na stacji, ale wolno jechał dalej. Skierowano nasz eszelon na boczne tory, tutaj dopiero pociąg stanął, do rana nie wiedzieliśmy, że jest ta stacja końcowa do której mieliśmy dojechać koleją. Tej nocy mało kto spał, oczekiwaliśmy co z nami będzie. Na drugi dzień otrzymaliśmy polecenia opuszczenia wagonów. Teraz dopiero rozpoczęła się krzątania w wagonie. Wszystko co mieliśmy ze sobą trzeba było wypakować. Wypakowane rzeczy każdy ustawiał obok swego wagonu. Wypakowano też wagon bagażowy. Były w nim większe bagaże jak, jakieś kufarki, worki z mąką i inne rzeczy. W grupach z rodzinami oczekiwaliśmy, co

dalej z nami będzie, gdzie nas przeznaczą i co z nami zrobią. Po jakimś czasie na bocznicę stanęło kilka ciężarowych samochodów, nasi komandirzy kazali ładować cięższe bagaże na te samochody, nie obyło się bez obaw, że chcą nam zabrać nasze rzeczy. Po załadowaniu samochodu odjechały. Na ile starczyło miejsca, zabrały te osoby, które o własnych siłach nie mogły iść, jak np. staruszka Szłacowa ze złamaną nogą. Wszyscy pozostali musieli iść pieszo. Prowadził naszą kolumnę jakiś komandir z kilkoma bojcami. Szliśmy dość daleko na peryferie miasta. Zaprowadzono nas do drewnianych baraków, było ich kilka o dużych salach. Nie było w nich żadnego sprzętu poza drewnianymi ławkami, żelaznymi piecykami. Każda rodzina znajdowała dla siebie swój kąpielnicę i na podłodze rozkładała swoje bagaże. Sąsiedzi z Mazurów starali się trzymać razem. W barakach było bardzo dużo ludzi, i to nie tylko z okolicy Podhajec, byli tam ludzie z Brzeżat, Tarnopola, i z innych miejscowości woj. tarnopolskiego. Znalazły się tu te bagaże przewożone tam samochodami. W tych barakach przebywaliśmy kilka dni, jedzenie otrzymywaliśmy raz dziennie. Już przeszło miesiąc zupa i kawałek chleba było naszym pożywieniem. Byliśmy bardzo wycieńczeni przez jazdę pociągami i to co dostawaliśmy było za mało. Pewna rodzina, widząc naszą sytuację podzieliła się z nami zapasem mąki. W barakach było zimno, gdyż nie było czym palić w piecach. Mając już doświadczenie, chłopcy zrobili rozeznanie w terenie opodal baraku. Niedługo przy naszym piecu znalazły się kawałki węgla i drzewa. Wszy dawały się we znaki, myliśmy się tylko w zimnej wodzie, o praniu i parzeniu czegośkolwiek nie mogło być mowy. Mydła nie było dużo, bo tylko kilka kawałków udało się zabrać z domu. Na drugi dzień Bosjanie urządzili kantorak. Tu zgłaszali się ci co mieli dużo dzieci.

wieloletnie rodziny mogły tam dostać walonki a nawet kurajki. Nasi sąsiedzi z baraku mówili "skoro dają to trzeba brać". Nasza rodzina nie dostała nic, nie wiem co było tego przyczyną, czy już zabrakło tych rzeczy, czy tata nie chciał brać, był on bowiem bardzo uprzedzony do bolszewików. Chodząc koło baraku, zauważyłem, że jacyś ludzie niosą długie, białe bułki. Ich śladem natrafiłem na kiosk w którym je sprzedawano. Powiedziałem o tym mamie, która dała mi pieniądze i udało mi się kupić taką jedną bułkę. Chociaż jedna na dziesięć osób to mało, ale lepiej niż nic. Kiedy jednak ludzie dowiedzieli się o tym, trzeba już było szyć w kolejce. Dla wszystkich bułek nie wystarczało. w tym samym baraku, lecz w innej sali był nasz brat Wladek, była też nasza Hela z mężem Franciszkiem Szelastem i z teściem. Przez cały czas podróży staraliśmy się być blisko siebie. Po kilku dniach, wczesnym rano, jakiś urzędnik zaczął wyczytywać nazwiska. wyczytywał wszystkich z naszej wsi i jeszcze z innych rodzin, których nazwisk nie pamiętam. Do Krasnojarska przyjechały też inne pociągi z zesłańcami. Baraki w których przebywaliśmy były punktem z którego wysyłano ludzi w różne części tajgi. My byliśmy przeznaczeni aż do Sybiroju jenijskiego rejonu, dokąd wywieziono innych z baraku, tego niestety nie wiem. Wycztani mieli zabrać rzeczy i przygotować się do drogi. Nie ożózymaliśmy tego dnia zupy, ale za to trochę większe porcje chleba. Kiedy załadowaliśmy swoje rzeczy na sanie, kolumna ruszyła. Było nas bardzo dużo, tak przynajmniej to wyglądało. Mijaliśmy ostatnie, drewniane zabudowania Krasnojarska, byliśmy na równinie śnieżno-białej, Po przejechaniu kilku kilometrów, wjechaliśmy na lód. Nie miałem wtedy pojęcia, że idziemy po lodach zamrożonego Jenisieju. Powiedział nam o tym Rosjanin dogładający koni. Nie wiedziałem jaka jest szerokość Jenisieju w tym miejscu, przypominam

sobie jednak, że gdy byliśmy gdzieś na środku, to do brzegów było daleko, lód był przysypany śniegiem i trudno było dojrzeć w którym miejscu zaczyna się brzeg. Na saniach znajdowały się nasze bagaże, były także niejsa dla chorych, tak jak np. dla naszej sąsiadki Szłapowej i małych dzieci. Pozostali musieli iść pieszo, za każdymi saniami szła grupka ludzi-rodzina, sąsiedzi z którymi mieliśmy wspólne snie. Rozmowy dotyczyły spraw bieżących, gdzie nas zawiozą, jak daleko-co z nami zrobią, czy będzie co jeść itp. Razem z nami był (oprócz tych co zajmowali się koniami) komandir-NKWD. Ja pamiętam jednego, co przechodził koło san i ponaglał "nie ostawat", czy było ich więcej-nie wiem. Pierwszego dnia wędrowki Jenisiejem, nie stawaliśmy ani na chwilę, dostaliśmy od mamy po kawałku chleba wrzątku nie było jak i gdzie zgotować. Niektórzy jedli śnieg. Jeśli ktoś potrzebował załatwić swe potrzeby, robił to kilka kroków od san, później trzeba było je doganiać. Choć tego dnia słońce nie świeciło, to wiedzieliśmy, że jest już późno, że zbliża się wieczór, który zapada tu bardzo wcześnie. Do tak dłużej wędrowki nikt nie był przygotowany. Byliśmy porządnie zmęczeni i bardzo głodni, ponadto nie byliśmy odpowiednio ubrani i obuci. Pamiętać trzeba, że była to zima, a ludzie ubrani byli dość lekko, niektórzy na głowach mieli kapelusze i takie czapki z daszkami bez nauszników. Ja np. ubrany byłem w spodenki do kolan, ponczochoy, płaszcz, na nogach miałem trzewiki. Podobnie ubrani byli moi bracia-w latach 30-tych chłopcy nie nosili długich spodni. Ci co mieli buty z cholewami, nie mieli odcisków-wygrali. Było już ciemno, jak sanie wyjeżdżały na prawy brzeg Jenisieju, tym brzegiem jechaliśmy tylko chwilę, konie zaczęły stawać, furmani ustawili je rzędem (były tam takie specjalne żerdzie do uwiązywania konia), obok stał duży drewniany barak. Zebraliśmy swoje rzeczy i poszliśmy do baraku.

Była tu duża sala, na środku stał żelazny piec, dużo większy od tego jakie były w wagonach, paliła się lampa naftowa, było zimno. Okazało się, że gospodarze zapomnieli przygotować drzewo na opał. Toteż sami musieliśmy iść do lasu po drewno i napalić w piecu. Nazbierano też śniegu i zagotowano wody. Komandir zapowiedział, że jedziemy rano dalej. Nie było tu żadnych łóżek, pryczy, rozlokowaliśmy się na podłodze. Rozłożyliśmy pierzyny na podłodze, nakryliśmy się kocami i płaszczami. Jak obliczyli starsi, po całym dniu wędrówki, mogliśmy zrobić 50 km. Spanie na tej pierzynie miało sens, gdyż wiało od ziemi, a tak nie pomarzliliśmy, ciepło było też dlatego, że spało dużo ludzi, jeden obok drugiego. Rano dostaliśmy po kawałku chleba od mamy, załadowaliśmy rzeczy na sanie i po chwili jazda w nieznaną. Okazało się, że jedziemy tą samą drogą do Jenisieju, czekała nas całodzienna wędrówka, wieczorem wyjazd na brzeg - a tam barak. Sytuacja ta powtarzała się przez następny okres aż do Jenisiejska. Z Krasnojarska do Jenisiejska, przez ok. 5-6 dni, przeszliśmy pieszo 300-400 km. Przez cały czas żywił się chlebem otrzymanym w Krasnojarsku, do tego mieliśmy kapiatok, i to nie zawsze. Wszystkich rodzin w naszej grupie mogło być ok. 100, a wszystkich ludzi ok. 500. W takiej grupie dojechalismy do Jenisiejska. Któregoś dnia podróży, jednej z rodzin zmarło w baraku dziecko, rano trzeba było iść dalej. Dziecko to zawinięte w jakieś ubranie pozostało na śniegu, pochować nie było jak, nie mieliśmy kilofów, ani łopat. Pamiętam, że w drodze ludzie już chorowali. Nie było żadnej opieki lekarskiej, ludzie musieli iść dalej. Kiedy dojechalismy do Jenisiejska, kolumnę naszą skierowano na duże podwórze, nie wszystkie sanie się tu zatrzymały, część z nich pojechała gdzieś dalej. Nie wiemy gdzie ich zabrano, jak żyli. Kazano nam wejść do świetlicy, był to murowany budynek

Kiedy rozlokowaliśmy się w tej świetlicy, okazało się, że była ona przerobiona z cerkwi. Prz yjechalismy do Jenisiejska, zmęczeni, głodni, zawszeni. W tej cerkwi-sświetlicy nie było gdzie zagotować wody. Usiedliśmy w kącie na podłodze i czekaliśmy. Nie mieliśmy już chleba, była ta mąka, którą dostaliśmy od tej dobrej rodziny, ale nie było gdzie upiec placków. Obok nas rozlokowała się jakaś nym obca rodzina, miała trochę chleba i kiszoną kapustę. Oni jedli a my przyglądaliśmy się. Po chwili matka tej rodziny widząc, że my pożeramy ich wzrokiem, kazała dać sobie jakiś garnek i dała nam kapusty. Nie trzeba tłumaczyć jak dobra była ta kapusta, jej smak pamiętam do dzisiaj. Spaliśmy siedząc. Na drugi dzień otrzymaliśmy zupę i po kawałku chleba. Sprytniejsi mający pieniądze, kupili w sklepiku trochę chleba. Myśmy nic nie kupili, myślę, że rodzice trzymali te ruble jeszcze na gorsze czasy. Sowiecycy urzędnicy-cywile sprawdzali listy zesłaneów. Przebywaliśmy tu 2 dni. Na 3 dzień kazano ładować bagaż na sanie. W tym czasie kazano mojej siostrze wykonać pewną pracę nie związaną z nami. Nie chciała ona tego polecenia wykonać i zaczęła w dość ostrym tonie się z nimi przekomarzać. Do ojca podszedł jakiś cywil i powiedział: "niech się ona uspokoi, bo ją aresztują:". Był to jakiś urzędnik, gdyż jak ruszyliśmy w drogę on dołączył do grupy Rosjan. Zosi nie aresztowali, ale zauważyli, że brat Staszek ubrany jest w wojskowy płaszcz. Jeden NKWD-ta podszedł do niego i nożykiem obciął mu naramienniki. Stojący obok Rosjanie głośno śmiali się. Myśleliśmy, że stąd pojedziemy już do konkretnego miejsca naszego zesłania, ale było inaczej, przed wyruszeniem w dalszą drogę, zostaliśmy zaopatrzeni w chleb. Po pewnym czasie sanie zjechały z lodu i dalej jechały już lądem. Szliśmy cały dzień, podrodze minęliśmy jakąś wioskę. Pamiętam, że z tej wioski ludzie wychodzili i dawali na sanie niektórym

po kawałku chleba czy jakies inne jedzenie. Stojący przed swoimi domami Rosjanie kiwali głowami, miał to być chyba znak współczucia. Myślę, że ci ludzie też kiedyś byli wywiezieni i sami musieli wybudować tu te domy. Jechaliśmy do wieczora. W drodze zauważyliśmy, że ludzi i san jest mniej niż wczoraj. Gdzie skierowani zostali pozostali - nie wiem. Wieczorem zatrzymaliśmy się we wsi, gdzie domy też były z drewna. Większość podróżnych ulokowana została w budynku szkoły, inni skierowani zostali do domów prywatnych. Nasza rodzina przydzielona została do domu, gdzie mieszkało dwóch już starszych Rosjan. Było to małżeństwo. Poprosiliśmy o kąpiatki. Byliśmy zmęczeni, tak jak poprzednio tylko chorzy i dzieci mogli jechać na saniach. Nasi gospodarze przygotowali wodę, mama podzieliła chleb. Ci ludzie dobrze wiedzieli kim jesteśmy i dlaczego nocujemy w ich domach. Mam prawo twierdzić, że nam serdecznie współczuli. Nie rozmawialiśmy wiele z nimi, gdyż nie bardzo jeszcze rozmawialiśmy po rosyjsku, ale i oni nie zdradzali wielkiej ochoty do rozmowy. Siedzieliśmy przy dużym stole, po chwili gospodyni postawiła na nim garnek ziemniaków w mundurkach, znalazła się też i sól. Zjedliśmy w krótkim czasie, wydawało się, że takich wspaniałości nie jedliśmy nigdy. Te ziemniaki były wielką atrakcją, przez ponad miesiąc nie jedliśmy nic innego jak zupę i chleb. Jadąc Jenisiejskiem, na brzegu nie widać było gór, tylko lasy. Teraz kraj obraz był zupełnie inny, były równiny i także wzniesienia. Tego dnia był duży mróz. Ci co siedzieli na saniach, marzli okropnie, mimo, że byli okryci wszystkim, co się do tego nadawało. Bolały nie już nogi, zaczęłam trzymać się sań, gdy tata to zauważył, kazał mi zejść z san, teraz wiem, że miał rację. Na saniach była taka skrzynka bez nakręwy, w niej leżała książeczka do modlitwy. W czasie jazdy otworzyła się w miejscu gdzie był

wizerunek Chrystusa. Zauważył to furmanowy, Rosjanin i powiedział, że on też jest wierzący i zaczął mówić po rosyjsku "Ojciec Nasz". Było to dla nas zaskoczeniem, że i tu są ludzie wierzący, którzy mają odwagę wyznać swoją wiarę. Po zjedzeniu tych ziemniaków chcieliśmy się położyć spać, gospodarz przygotował ogromnych rozmiarów prycze pod sufitem, zmieściło się tam nas chyba pięcioro, reszta spała na podłodze. Mama dała tej Rosjance trochę mąki, była ona bardzo z tego uradowana. Mówiła: "kakaja bieleńkaja:". Mój brat Tadek, miał 15 lat, gorączkę i był słaby. Rano jednak wszyscy ruszyliśmy w drogę temi samymi saniami. Następną nocleg był w innej wiosce. Nocowaliśmy w świetlicy i w szkole. Teren był górzysty, przez cały dzień jazdy nie spotkaliśmy żadnych osiedli ludzkich. Na trzeci dzień dobrnęliśmy do miejscowości Brianka. Tutaj wyładowaliśmy nasze bagaże do baraków. W ciągu tych 3 dni zrobiliśmy ok 150 km. W pobliżu baraku widac było jakąś zamarzną rzekę, nie wiedzieliśmy jak ona się nazywa. Jak duża była to miejscowość nie wiem, bo nie oddalaliśmy się od baraków. Byliśmy strasznie zmęczeni i głodni, był straszny mróz. Wszystko to powodowało, że ludzie byli już u kresu sił. Staruszka Szłapowa, kiedy ją jej syn przynosił do baraku, mówiła, że chciałyby przeżyć i zobaczyć dokąd nas zawiozą, czy na kraj świata? Rano dostaliśmy wrzątek i porcję chleba. Zauważyliśmy, że podjeżdżają ciężarowe samochody. Nie wiedzieliśmy, że tymi samochodami będziemy jechać dalej na północ. Zaraz wydano polecenie aby się ładować na te samochody. Wszystkich samochodów było chyba z 10, nie było planek, ułożyliśmy bagaże, siedliśmy na nie, było ciasno. Ludzie pokrywali się jak tylko było można. Był mroźny dzień choć był to już marzec. Co to znaczy jechać w takim samochodzie w zimnie, w kapeluszu jak mój ojciec, to może powiedzieć tylko ten, kto



to przeżył. Jechaliśmy przez tajgę, teren górzysty, ale droga była przejezdna. Kierowcy trzymali się razem, odległości od samochodów nie były duże. Przez całą drogę tylko raz jeden samochód zjechał na pobocze i zatrzymał się w śniegu. Kierowca wyrąbał kilka cienkich sosen i przy pomocy swoich pasażerów, którzy podkładali pod koła te sosny zdołał wiechać z powrotem na drogę. Iniej więcej w połowie drogi samochody zatrzymały się. Szoferzy kazali zejść "pogulat". Nikt się jednak nie ruszał i nie próbował zejść z samochodu, nie było to lenistwo. Wszyscy byli tak zmarznięci, że zejście stało się rzeczą prawie niemożliwą. Śnieg, mroźny wiatr przeszył wszystko. Pod koniec jazdy samochody wiozły "żywe trupy". Zrobiliśmy tego dnia ok. 200 km. Po drodze nie spotkaliśmy żadnych wiosek. Minęliśmy Swierojanisiejsk i dojechaliśmy do Teji, gdzie nas wyładowano, trzeba to rozumieć dosłownie. Kierowcy stanęli przy dość dużym budynku. Była to świetlica, część ludzi pojechała dalej i wyładowano ich do szkoły. Kiedy kierowca otworzył tylną klapę wozu, z trudem zszedł mój brat Staszek i jeszcze ktoś, oni to pokolejzinosili na rękach pozostałych. Byliśmy tak przemarznięci, że były trudności z poruszaniem nogą czy ręką. Miejscowi Sowieci musieli wiedzieć o naszym przyjeździe wcześniej, bo w baraku w świetlicy paliło się w piecu i było dość ciepło. Niektórym osobom rozcierano śniegiem nogi, które odmrozili podczas drogi. Jestem przekonany, że gdyby droga była dłuższa, to szereg ludzi nie przeżyłoby, nadawali się do grobu. Poszliśmy spać. Rano pojawiło się nacziałstwo i kazali się zbierać. Przed świetlicą stały znów sianie, było ich mniej. Mówiono, że jest to nasza ostatnia droga. Jechaliśmy znowu po zamarzniętej rzeczce. Nie wiedzieliśmy jak się nazywa - nie wiedział też Aron. Dopiero w lecie dowiedzieliśmy się, że jest to rzeka Keja. Jak powiedzieli Rosjanie - mamy

przed sobą ok. 20 km, taka odległość to nie takie straszne, szliśmy już przecież wiele więcej. Rozmowy są o tym, co nas na końcu tej drogi czeka, jak będziemy mieszkać, co będziemy robić, co jeść, w czym chodzić itp. Po 3-4 godzinach drogi, dotarliśmy do miejsca pobytu, wyznaczonego nam przez NKWD. Idąc za saniami ciągniętymi przez małego sybirskiego konika, nasz woźnica powiedział: "wot uże widno". Zauważyliśmy parę drewnianych budynków, oraz 2 długie baraki. Były one niedawno budowane, gdyż drzewo z których zostały zrobione było jeszcze białe. Wyjechalismy na brzeg i zatrzymaliśmy się przy drugim baraku. Tam komandir kazał "wydrurzatsia!", zdejmować i zajmować kwatery. Do każdej kwatery miały wejść dwie rodziny, zaczęła się biegania. Każda rodzina jak najszybciej chciała ulokować się w swojej kwaterze. Wszystkie one były jednakowej wielkości i jednakowo zbudowane. Tak się złożyło, że prawie każda kwatera była już zajęta przez jakąś rodzinę, a tata widząc jakie te pomieszczenia są małe, chciał zająć całą kwaterę, bo było nas przecież dziesięcioro. Pozostała już tylko jedna, cała wolna, bez drzwi, od szczytowej ściany. Tą właśnie kwaterę zajęła nasza rodzina. Wnieśliśmy nasze bagaże i stanęliśmy obok siebie. Co zrobić, co z sobą począć? Mama przeżegnała się i kazała rozpalic pod kuchnią ogień. Przecież tu nie ma drzwi! zauważyła Józia i Bronia. Nasz Staszek poszedł obok do sąsiadów umówił się, że pójda wspólnie po drzewo. Z drzewem nie było kłopotu, byliśmy przecież w tajdze, znaleźli suche drzewo, pocięli je i porąbali. Zamiast drzwi rozwiesiliśmy koc. Ktoś z sąsiadów rąbał już lód na rzece - potrzebna była przecież woda. Z tej przerębli braliśmy wodę, lód miał grubość ok. 50 cm. W piecu się już paliło, woda się grzała, mieliśmy jeszcze parę kg. mąki, Zosia i Józia upiekły placki i tak rozpoczęło się nasze życie tu na zesłaniu. Miejscowość ta nazywała

się ZImawiołoteja. W naszej izbie (a tak było u pozostałych), nie było żadnego sprzętu, żadnego łóżka czy pryczy do spania, żadnej ławki, półki, nie tylko gołe ściany, lecz także jak u sąsiadów nie było nawet sufitu a u nas drzwi. Kiedy trochę zagrzałiśmy się i zaspokoiliśmy pierwszy głód, trzeba było pomyśleć o spaniu. Dzień już się kończył i nie było czasu na budowę pryczy. Tata kazał przynieść gałęzek sosnowych, nie było tu innych drzew niż szpilkowych, jak sosna, cedr. Gałęzie te, położone na podłodze posłużyły jako izolacja od zimna. Na te gałęzie położyliśmy swoje rzeczy, chodnik, kurtki, mieliśmy swoje dwie pierzyny i poduszki. Położyliśmy się jeden koło drugiego, bez butów ale w ubraniach. Minęła noc. Rano pobieraliśmy się i oczekiwaliśmy, że zostaniemy wezwani przez komandira, Zima była w pełni, mróz i trzeba było palić pod kuchnią prawie bez przerwy. Starsi z rodzeństwa wyszli rozejrzeć się w okół baraku, poszedłem i ja. W odległości kilkunastu metrów od baraku postawiona była jakaś ściana. Okazało się, że jest to coś w rodzaju ubikacji. Ta ściana była taką zasłoną od tego baraku. Była też druga ściana, patrząc od str. baraku, wyglądała to jak odwrócona litera "T". Z jednej str. ~~kon~~stali mężczyźni a z drugiej kobiety. Po środku wykonany był rów, w zimie nie był problem, ~~że~~ latem był niesamowity smród. Trochę dalej stało kilka pustych baraków, nie znaleźliśmy ich przeznaczenia. Tego dnia nikt nas nie wołał na jakieś zebranie informacyjne, nie było też wołania, aby iść po zakup. Dopiero popołudniu, w sklepiku sprzedawali chleb na każdą rodzinę. W tym czasie przybyli też pieszo zesłańcy do drugiego baraku. Część z nich rozpoznaliśmy jako tych, którzy byli z nami w Jenisiejsku. Pozostałych nie znaleźliśmy w ogóle. Było w tej grupie sporo ludzi z okolic Brzeżan. Toteż po jakimś czasie utrwaliły się nazwy baraków. Nasz nazywał się "Podchajce", a ten drugi "Brzeżany".

Odrana drugiego dnia tata zaczął budować prycze, chodziło o to żeby nie spać na podłodze. Dłakowało desek, więc trzeba je było zrobić z suchych żerdzi, których prawie nie było, gdyż mieszkańcy innych baraków zdążyli je wczoraj wyzbierać. Dlatego też nasze prycze zostały zrobione z zamrożonej, surowej sosny. Na te okraglaki położyliśmy zebrane wczoraj suche gałęzie, później nasze ubrania, chodniak i tak powstały nasze "łóżka". Nie zmieściliśmy się na nich wszyscy, toteż niektórzy spali jeszcze na podłodze. Kiedy ojciec robił prycze, my przygotowaliśmy drzewo na opał, i jak wykazała dwudniowa praktyka, lepiej od sosny paliła się brzoza. Dopiero na trzeci dzień, komandir, który mieszkał w jednym z tutejszych domów, zapowiedział, że jutro będzie zebranie. Zebraли się ojcowie rodzin i starsze rodzeństwo, obok kantoru. Komandir ogłosił, że władza radziecka umożliwi wszystkim pracę, powiedział też, że kto nie pójdzie do pracy, nie dostanie przydziału chleba. Stwierdził, że w Sowieckim Sojuszu "kto nie robotajet - ten nie kuszajet". Po tym wystąpieniu, cywilni Rosjanie rozdawali przykłady do przyszłej pracy. Były to: piła duwosobowa, piła jednoosobowa (rucznik), topór. Ci co mieli czym pracować wracali do baraków. Urzędnik powiedział, że kto chce to może otrzymać zaliczkę na następne zarobki, nie pamiętam o jaką sumę chodziło. Zaliczkę brali prawie wszyscy, gdyż nie było tu ludzi zasobnych w gotówkę. Zaliczki te były później potrącane z zarobków. Tak o to rozpoczęliśmy pobyt i życie na dalekiej Syberii. Od Polski w linii prostej dzieliło nas ok. 6000 km, do najbliższej stacji kolejowej mieliśmy jakieś 500 km, drogą jaką przebyliśmy miała 800-900 km. Różnica czasu między Podchajcami a Teją, wynosiła 6 godzin. Po kilku dniach tata dostał deski i sam zrobił drzwi. Baraki te miały jednakową konstrukcję i wielkość, każdy miał długość 30 m, a szerokość wynosiła ok. 7 m, ściany, dachy, sufity-

wszystko było z drewna. Przez środek baraku przebiegał korytarz. Po obu jego stronach były drzwi prowadzące do pomieszczeń. Każda taka kwatery mieściła po 2 rodziny, a tych kwater po każdej stronie baraku było po 10, niektóre tak jak nasza, były zajęte przez jedną rodzinę. Wynika z tego, że w jednym baraku było ok. 40 rodzin, razem więc mogło być 80 rodzin, przyjmując, że przeciętnie rodzina liczyła 5 osób, to okazuje się, że było nas 400 osób. Jest to szacunek minimalny. Jak wspominałem, każda kwatery przeznaczona była na dwie rodziny, a wyglądało to tak: po wejściu do środka w odległości ok. 1m od drzwi, które dzieliły kwatery na połowy, stała kuchnia murowana z płytą kuchenną i kominem, za kominem była zrobiona z drewna ścianka działowa dzieląca kwatery na dwie równe wielkości. W ścianie były szpary, więc można było wiedzieć co się u sąsiada dzieje. Każda izba miała wymiary (mniej więcej), długość 4m, szerokość 3,5m. Po odliczeniu kuchni, powierzchnia użytkowa dla każdej rodziny wynosiła ok. 13-14 metrów kwadratowych. Myśmy mieli do dyspozycji dwie takie izby, czyli 26m kwadratowych, a, że było nas dziesięcioro, to wiadomo ile przypadło na jedną osobę. Jeśli od tego odejmiemy powierzchnię zajmowaną przez prycze, to jak wszyscy byli w izbie, było ciasno, to tylko jak trafiła się okazja, tata zrobił prycze sięgające pod sufit, na wzór tych jakie widzieliśmy u Rosjan w drodze na to miejsce. Na tej pryczy-półce mieściło się nas pięcioro. Zrobiło się więc na dole luźniej. W każdej izbie było okno, oszklone pojedynczą szybą. W miarę upływu czasu każda rodzina robiła prycze, stoły, ławki, półki itp, także do wiosny izby były umeblowane. W czasie gdy zesłańcy otrzymywali narzędzia pracy, zmarła Szkapowa, ta ze złamaną nogą. Była to pierwsza śmierć po przybyciu do Zimowia. Z czasem wśród Polaków utrwaliła się nazwa Zimowiańska.

Syn jej zrobił trumnę, cmentarza tutaj nie było, komandir kazał pochować za naszym barakiem w odległości ok. 100m, nad brzegiem rzeki Teji, nad brzegie, gdyż gdzie inakiej nie byli to możliwe, bo płytko pod ziemią był kamień. Ziemia była zamrznięta, więc było dużo roboty z kopaniem grobu. Byliśmy na wyżu syberyjskim, dookoła nas lasy, góry i rzeki. Tajga w pełni swej grozy. Baraki położone były na brzegu widła dwóch rzek: Teji i Uwołgi. Oprócz tych naszych dwóch baraków były tu jeszcze dwa budynki, które miały następujące przeznaczenie: koniusznia dla 10 koni, budynek kancelarii, bania (łazienka), ławocznica - budynek przeznaczony na sklepik, dom mieszkalny, piekarnia. W baraku Podchajce mieszkali nasi sąsiedzi z Mazurów, a to: Edmanowie 3 osoby, Zaręba władca, sław z żoną i synami Edwardem i Zdzisławem, Zaręba był działaczem ruchu ludowego, organizatorem strajku chłopskiego na Kongresówce, Szelas Franciszek z żoną i dziećmi, Józefa, Szanisław, Czesław lat 15, Zofia lat 1, Szelas Wojciech z synem Stanisławem, Wojciech zmarł w 1940r a Stanisław wyjechał z wojskiem do Iranu, walczył pod Monte Casino, a po wojnie zmarł w Kanadzie, Trze-las Franciszek z żoną Heleną, Boron Wojciech z żoną i dziećmi, Wojciech - syn jego lat 32, Jan 30, Bronisława 4, Tadeusz 17, Zofia 15. No i nasza rodzina. Moi bracia, Franciszek ur. 1915 i Aleksander w 1917r nie byli wywiezieni z nami na Sybir. Franek w lutym 1940r był chory na żółtaczkę i leżał w szpitalu w Podchajcach, był strzeżony przez siostrę szpitalną, uciekł ze szpitala i chował się u swych przyjaciół na starym mieście nieopodal Podchajca. Potem ożenił się i z żoną Stanisławą z Długosiewiczów przeniósł się do Rudnika nad Sanem, gdzie mieszkał przez cały okres okupacji. Olek służył w wojsku w jednostce pancerniej, miał już skończyć służbę, gdy wybuchła wojna, brał udział w walkach i był ranny w bitwie nad Bzurą, udało mi się ich odnaleźć po

wojnie w 1945r. Dalej tutaj mieszkał Szłapa Józef z żoną, Szłapa Stanisław z żoną Józefą, Szłapa Franciszek z żoną i dziećmi, Zdzisławem, Romaną, Kołodziek Stanisław z rodziną Cyncylią, Kazimierzem, Katarzyną, Adolfem i Marią, Lampart Piotr z żoną i dziećmi, nasz brat Stanisław z żoną Marią i synem Mariankiem, lat 3, zajmowali oni wspólną kwaterę ze szwagrem-Franciszkiem Szelastem, dalej był Józef Magusiak z żoną i dziećmi-Julian 31 lat, Kazimierz 29, Marian 19, Eugenia 16 lat, Dwaj jego synowie przebywali w Warszawie i nie byli wywiezieni. Magusiaki zamieszkiwali 3km. dalej od nas na południe idąc rzeką Uwołga, był tam tylko jeden drewniany dom n.z. przez miejscowych "osjan" bogatkami". Po pewnym czasie zostali też tam przeniesieni Szłapa Józef, i Szłapa Stanisław z żoną. W Bogatkach zamieszkał również Władysław Magusiak z żoną i 2 dziećmi. U nas mówiło się, że Magusiaki nie chcą mieszkać na Zimoteji, gdyż mieli jakieś obawy, nie wiadomo czego się obawiali. Nie byli wywiezieni na Sybir mieszkańcy Mazur: Boron Antoni z żoną i 2 dziećmi (Antoni był komunistą), Wenysz Jan z rodziną-ten co chodził i spisywał nas z NKWD, Szajna Władysław miejscowy kowal, Orłanski z rodziną i rodziną której nazwiska nie pamiętam, oni byli szewcami. Z Sąsiadów, którzy mieszkali z nami w baraku a nie byli z Mazur, pamiętam: Kochana Wojciecha miał chyba 7 małych dzieci, Ostrowskich i dwoje ich krewnych o nazwisku Łaz. Był tam chłopak lat 16 i dziewczyna młodsza o jakieś 2 lata. Przyjechali oni, jeśli dobrze pamiętam z Gdyni, na wakacje, gdzie zastała ich wojna i zostali wywiezieni na Sybir. Wszystkich rodzin nie pamiętam. W baraku "Brzeżany" zapamiętałem: Piotra Deja, Benziuka-obaj byli Ukraińcami, Zakulkiewicz i całą rodziną Włyszów z którymi przyjechalismy w 1941r do miasta Ujar leżącego na wschod od Krasnojarska. Byli też Targosze-z Józkiem Targoszem chodziłem

do 6 klasy w roku szkolnym 1944-1945. Zaraz na drugi dzień po przybyciu do Teji, mieszkańcy baraku zabrali się do odwszania. Trzeba było zniszczyć to plugastwo w bieliźnie, pościeli, we włosach na głowie i nie tylko. Żadnej woszobójki tu nie było, toteż każdy radził sobie jak mógł. Nie wiem skąd, ale mieliśmy lampę naftową, a więc była nafta. Czyszczenie głów odbywało się w ten sposób, że włosy czesano zczesując wszy, potem smarowano głowy naftą a dopiero później je myto. Nas chłopców mama obstrzygła, robiąc na całej głowie swoiste schodki. Odzież, pościel i bielizna była prana, a więc polewana wrzątkiem. Chodziło również o to aby całą sprawę odwszania przeprowadzić w jednym dniu. To wszystko co nie dało się wyprać jak np. chodnik, zostało rozłożone na śniegu. Mróz zrobił swoje. Rano po wytrzeptaniu, zabraliśmy swoje rzeczy do domu. W ten sposób postępowali wszyscy mieszkańcy i pozbyliśmy się wskowej zarazy na dość długi okres. Było wiadomo, co będziemy tutaj robić. Będziemy pracować przy wyрубie drzew. Przydział chleba i jego zakup w sklepiku był uzależniony od tego czy ktoś pracuje, czy nie. Zapasów nie było, w tej sytuacji nie było żadnego wyboru. Kiedy miejscowe naczalstwo ogłosiło, że od jutra wszyscy z wyjątkiem dzieci i starców, mają iść do roboty, szykowano w domu ubrania i obuwia. Mama i siostry szykowały rękawice, tzn. szyły je z jakiegoś materiału, przygotowywano ocieplenie do taty kapelusza i czapek, mimo, że był koniec marca, według starszych ludzi mróz był w granicach 15-30 stopni. Przygotowywano także jakieś ocieplacze do obuwia, żadnego przygotowania do pracy w lesie nie mieliśmy, byliśmy przecież rodziną rolniczą. Nazajutrz rano idący do pracy zebrali się obok kantoru-kancelarii. Tutaj dopiero można było zobaczyć jak ci ludzie nie są przygotowani do takiej pracy w lesie. Na głowach niektórzy mężczyźni mieli czapki z daszkami a nie którzy kapelusze. Te czapki i kapelusze



przewiązane były szalikie zawiązane pod brodą. Kobiety miały chustki na głowach, z obuwiem było kiepsko. Na plecach niesiono piły i łuczniaki, w rękach długie piły i siekiery. Tak ubrane i wyposażone brygady odprowadzane były przez Rosjanina do lasu, droga do niego nie była daleka, po przejściu przez rzekę Teję, dziesiątnik (pilnujący Rosjanin) wyznaczał działki dla poszczególnych bragać-rodzin. Każda rodzina miała wycinać i rżnąć drzewo na tej działce do samej góry. Dziesiątnik dał każdej brygadzie miarę długości ok. 1m, na takie odcinki należało ciąć drzewa i następnie układać stosy wysokości 1,5m. Długość takiego stosu zależała od tego, ile tego dnia taka rodzina zdołała wyrżnąć, pociąć i ułożyć takiego drzewa. Od nas do pracy w lesie poszli: tata, Staszek, Zosia, Józia i Bronia. Mój ojciec miał trochę doświadczenia jako cieśla, i to się przydało. Chodziło o to, jak ułożyć siekiere, aby drzewo dało się rozrąbać na połowy, by nie rąbać tak, żeby nie natrafic na sęk, tylko obok sęku. Grube drzewo trzeba było rozłupywać ~~na~~ dwoje a nawet na czworo, jedna osoba trzymała siekiere a druga uderzała specjalną do tego przygotowaną sosnową buławą. Samo scinanie i odłupywanie z konarów drzew, było utrudnione tym, że było duże śniegu, pokrywa jego sięgała 1,5 i więcej metrów. Ścięta sosna wbijała się głęboko w śnieg, trzeba było zrobić dojście do sosny z obydwu stron, tak, aby można było pobcinać konary. Następnie zrobić miejsce na piły. Po poprzecinaniu, trzeba było wynieść odcinki na udeptany już plac, gdzie odbywało się rąbanie tych kłocy. Podział pracy był taki: tata ze Staszkiem scinali i rąbali, odrąbywanie i cięcie na odcinki, to była robota Józi, Zosi i Broni. Staszek musiał też pomagać przy wynoszeniu większych kawałków sosny, bo dziewczyny nie mogły dać sobie rady. Pozostałe gałęzie można było spalać. Zatem każdy do spółki z brygadą korzystał z tej okazji. Podczas

pracy nie było tak zimno, było względnie ciepło od samego wysiłku, jednak gdy się stanęło dla odpoczynku, to zaraz robiło się zimno. Wtedy stało się przy ognisku, z przodu było ciepło, ale po plecach czuło się zimno. Praca w lesie oprócz niebezpieczeństwa przeziębienia się i odmrożenia nóg, rąk, była też niebezpieczna dopóki sąsiadujące brygady nie nauczyły się kierować spadające drzewo w odpowiednim kierunku, często kierowali akurat na innych scinających gałęzie. Późno w dzień, a za razem koniec pracy, porąbane drzewo układało się w sągi. Przychodził dziesiątnik i mierzył ile to drzewa ułożyły poszczególne brygady. Gdy w kwietniu nie było już wielkich mrozów, chodziłem do lasu do naszej brygady próbowałem pomagać w noszeniu pociętego drzewa. Były trudności z przenoszeniem gałęzi, gdyż przeszkadzały tu tym duże zaspy śniegu. Tadek do tajgi nie chodził, gdyż od samego tu przyjazdu był chorowity, miał podwyższoną temperaturę, kaszlał, masleliśmy, że to ta droga go tak wykończyła, mieliśmy nadzieję, że jak się ociepli to przyjdzie on do siebie. Narazie nikt z domowników nie brał poważnie tych dolegliwości. Mimo, że mrozy nie były już takie wielkie, zdawało się, że niektórzy odmrażali sobie nogi, ręce, twarz. Z czasem ubrania zaczęły się coraz bardziej niszczyć. Mama miała coraz więcej pracy z naprawianiem odzieży roboczej, dopóki były nici - to sobie jakoś radziła, kiedy się skończyły, były wyciągane z jakiejś bawełnianej tkaniny. Gorzej było z obuwem, mimo owijania je szmatami, zaczęły się one psuć, pękały głównie podczas wiosennych roztopów. Do południa buty namokły a po południu zamarzały. Dowiedzieliśmy się, że w naszym baraku jest ktoś kto potrafi naprawiać buty. Był to mężczyzna pochodzący z Podchajec, ale myśmy go nie znali. Był on taką "złotą rączką", z niczego potrafił zrobić coś. W dzień pracował jak inni, wieczorem próbował pomagać ludziom.

Naprawił buty, wstawił szkło do budzika a to coś dpra*da*ł ił.  
Po 2-3 miesiącach pracy w lesie , zaczął pracować na miejscu,  
ostrzy*ć* piły i siekiery. Pó*ś* paru miesiącach Hela przestała pra-  
cować, była w zaawansowanej ciąży. Pewnego dnia nasi drwale, wró-  
ciwszy z pracy długo rozmawiali o jakiejś kiedrze. Z toku ro-  
zmowy dowiedziałem się, że ktoś bezwiednie sciał cedrowe drzewo,  
i pociął je na kawałki. Znalaziono przy tym okazałe szyszki,  
a w nich, mniejsze niż nasze laskowe orzeszki. Wszystko było by  
w porządku gdyby nie pochwalili się tym dziesiątnikowi. Ten  
ich obrugał i zakazał scinać drzewa, gdyż są one pod ochroną.  
Groził*ę* odda pod sąd. Nie oddał, gdyż musiałby sam się tłumaczyć,  
że dopiero teraz powiedział im o tym. Od tego czasu rozpoczęło  
się poszukiwanie tych drzew i pozyskiwanie tych szyszek.  
Parę razy poszedłem na poszukiwanie tych drzew .Owszem, znala-  
złem, ale nie zdobyłem szyszek, gdyż drzewa te były bardzo grube  
i wysokie. Mimo zakazu, w górach spotkać można było ścięte drzewa  
ale szyszek na nich już nie było. Dnie były krótkie, tak więc  
praca zajmowała cały dzień, tematy rozmów obracały się w okół  
tego, kto ile zrobił i dla czego. W miarę оголачания pobliskich  
terenów, trzeba było chodzić coraz dalej. Jednego dnia tata  
złe się czuł i nie poszedł do pracy. Około 9goziny przyszedł  
do nas NKWD-*ta* i pytał dlaczego tata nie poszedł do pracy.  
Odpowiedział, że jest chory. To mu nie wystarczyło, pytał dalej.  
ojciec powiedział, że ma przepuklinę. NKWD-*ta* kazał sobie pokazać  
tę przepuklinę, gdy obejrzał powiedział, że ojciec powinien iść  
na operację. Poszedł sobie , nie przysłał lekarza, gdyż tu nie było  
ani lekarza ani pielęgniarki. On przyszedł zobaczyć dlaczego  
tata nie poszedł do roboty, a nie troszczyć się o jego zdrowie.  
Nasz Ładek był coraz słabszy. Nie było żadnej możliwości pomocy  
mu. Nikt się tu o nas nie troszczył. Coraz częściej rozmowa w

w baraku obracała się wokół tematów: kto nie przyszedł do pracy, kto znów zachorował, lub, że odmroził nogi. Na początku maja rozdzielane były robocze ubrania i walonki. Dla wszystkich tego nie starczyło, ale nasi dostali 2 kufajki i dwie pary spodni watowanych, choć na początku były obiekcje, jak to dziewczyna może chodzić w spodniach, ale do pracy w lesie, w zimie są przecież bardzo przydatne. Nadal nie było obuwia. W maju słońce było coraz wyżej i na południowych stokach pokazywały się miejsca wolne od śniegu. Skorzystaliśmy z tego, jako, że spod śniegu wydostawały się jagody podobne do naszej borówki tyle, że mniejsze. Zbieraliśmy je, jażdy kawałek góry był przez młodzież i dzieci dokładnie przeszukiwany. Te jagody wówczas były jedynym źródłem witamin. Było ich jednak za mało dla wszystkich, gdy udało się zebrać pół szklanki, to mama już dzieliła. Któregoś noc pod koniec maja zostaliśmy obudzeni, cały barak był na nogach. Tej nocy zaczął pękać lód na rzece Teji. Nasze baraki usytuowane były jakieś 30m od brzegu. Obawiano się, że jeśli powstanie zator lodowy, może zalać nasze baraki. Byliśmy przygotowani do ucieczki na nie wielką górę. Starsi mieszkańcy obserwowali brzeg rzeki. Lód spłynął jednak spokojnie, choć głośno. Rano gdy wysliśmy na brzeg, lodu już nie było, spłynął, po brzegach widać było skrawki kry lodowej. Jednego dnia polskie nastolatki wyszły przed barak, zaczęła się rozmowa o szkole, o tym, że w Polsce jest już dawno ciepło. Dużo na tych spotkaniach miał do powiedzenia Wladek "az, jak pamiętam przed wywózką był on uczniem 2 klasy gimnazjum. Z tych spotkań zapamiętałem strzępy wiersza: "

3 Maja słońce pięknie świeci,  
wyszły się opalać wszystkie polskie dzieci,  
stały przy baraku, nuciły piosenki,  
głos leciał po lesie i roznosił dźwięki.  
Smutno było na dworze choć słońce świeciło,

bo nawet kawałek chleba nie było.

Praca w lecie była lepsza, gdyż nie trzeba było się tak grubo ubierać, nie trzeba było odgarniać sniegu, łatwiej było znosić drzewo. Były i minusy - drzewo nie zamrożone trudniej było rapać, a kto nie miał doświadczenia musiał się bardziej wysilać. Najbardziej jednak dokuczały takie małe muszki, takie drobiny, ale kiedy ukąsiły, na ciele powstawała opuchlizna i takie czerwone pręgi. Szczególnie było ich dużo w dni pochmurne. Gdy poruszyło się jakąś rośliną, to przed oczami widziało się jedną chmurę muszek. To tego dochodziły olbrzymie roje komarów, w takich warunkach niepodobna było pracować, toteż pracujący otrzymali siatki do zakładania na głowy. Były one bardzo gęste i nie każdy mógł w niej chodzić cały dzień, ze względu na duszność, brak powietrza. Naczialstwo dawało też jakąś czarną masę, do nacierania twarzy i rąk. Szybko trzeba było zrezygnować z jej korzystania, gdyż prawie każdy, dostawał owrzodzenia. Nie wiele też pomagało palenie ognisk (zresztą nie pozwalano ich palić). Warunki pracy tak w zimie jak i w lecie były trudne, choć różniły się zasadniczo. Do pracy należało też składanie drzewa na brzegu rzeki, w tym celu tu do koniuszki sprowadzono 10 koni i sanie. Wożenie drzewa odbywało się głównie w porze letniej, po tych górach w jedną stronę konie ciągnęły puste sanie a w drugą z drewnem. Układało się go w wielkie stosy nad brzegiem, gdy nie było już lodu na rzece, to wrzucało się jego do wody. Płynęło ono Teją do miejscowości Teja, i tutaj było wyławiane i układane na brzegu. Oprócz porąbanego drzewa - przygotowane były całe kłocę sosnowe. One też zostawały wrzucane do wody. W Teji była elektrownia i drzewo służyło do palenia w piecu, był też tartak. U nas światła elektrycznego na Zimowej Teji nie było. Rosjanie mówili, że w okolicach Teji są kopalnie złota i tam przesyłana jest energia elektryczna.

Mój brat Stanisław przeniósł się za zgodą tutejszego NKWD-ty do jednej z kopalń złota koło Teji w 1941 roku, Zapamiętałem tylko, że nazywała się ona "Sogrudnik". Praca była w kopalni bardzo ciężka. Polegała na ręcznym naładowywaniu kopaliny na wózek. Ten kamień był mielony i wypłukiwano z niego złoto. On (mój) brat), pracował tylko pod ziemią przy ładowaniu tych wózków. Wyżywienie mieli lepsze, choć jak opowiadał, nie było ono wystarczające. Po kilku miesiącach wrócił na zimową Teję. W kopalniach pracowali też więźniowie, lecz nie było możliwości komunikowania się z nimi. Po powrocie Staszka dowiedzieliśmy się, że w kopalniach pracują też Polacy- zesłańcy, wywiezieni w lutym 1940 roku. Potwierdzenie tej relacji otrzymałem po 40 latach, gdy poznałem Wojciecha Sacha zamieszkałego obecnie w Lubsku. Niektórzy chłopcy w moim wieku pracowali przy wrzucaniu drzewa do rzeki, pracowałem też i ja z moim młodszym bratem Alojzym. Za tą pracę dostawałem nie dużą opłatę, było to jednak wzmocnienie budżetu domowego. Tadek był coraz bardziej chory i nie chodził do roboty. W tym czasie cierpiał coraz bardziej, leżał więcej niż chodził. Aby dostać się teraz na miejsce pracy trzeba było przedostać się przez rzekę Teję, na jej drugi brzeg. Do przeprawy ludzi służyły łodzie. Do takiej jednej wchodziło ok. 15 osób. Zdażało się, że wartki nurt rzeki zniósł łódź a przewoźnik nie mógł dać sobie rady. Odkąd przyprowadzono tu konie, Polacy (10) przywozili drzewo z gór. Konie były karmione sianem i owsem. Zdażało się, że nasz Staszek pracujący przy koniach, przynosił czasami w kieszeniach trochę tego owsa. Tak więc konie musiały się dzielić swoją porcją z ludźmi. Tata był już starszym człowiekiem i cała ta praca związana z rąbaniem drzewa, przechodziła na Józię, Bronię i Tosię.

Z tego też powodu, liczba metrów sześciennych była mniejsza niż w innych brygadach męskich. Ilosć porąbanego i ułożonego drzewa wiązała się ściśle z zarobkiem. Nie wiem ile płacili za m<sup>3</sup> - 20-30 kopiejek, w każdym razie wiem, że za pracę 5 osób z naszego domu, wszystkie zarobki przeznaczone były na zakup chleba, a na początku kupiliśmy parę razy olej, raz czy dwa trochę kaszy. Na nic więcej rubli nie wystarczało, zresztą nic tu więcej do kupna nie było. Do odległej o 20km Teji, nikt jak dotąd nie odważył się pójść. Rano trzeba było iść do pracy (bo sprawdzali), zaś po pracy było za późno o zę daleko. Jeszcze zimą dwóch kawalerów z barakuu Brzeżany, próbowało opuścić Zimową Teję. Poszli do Swieroczejska. Tam ich złapano i NKWD odprowadziło ich z powrotem do baraku, do domu. Po tym nikt nie próbował bez zgody władz, opuścić tej miejscowości. Nie długo potem, został zmieniony NKWD-ta u nas. Przyszedł nowy, który częściej odwiedzał izby zesłańców, coraz częściej zaczęto wprowadzać "subotnik", czyli pracę dodatkowo w wolny dzień, w ten sposób zmęczeni i nie dożywieni ludzie byli dodatkowo zmuszani do pracy. Odbijało się to w widoczny sposób na zdrowiu, choroby szerzyły się coraz bardziej. Od rozpoczęcia pracy racja chleba dla pracującego wynosiła 1kg, a dla tego co nie pracował, 0,5kg dziennie. Chleb wydawany był na listę. Od maja też wprowadzono kartki, i wtedy też obniżono normy dzienne chleba, 80dkg dla pracującego i 40dkg dla pozostałych. Obniżone normy spowodowały i tak już panujący wśród ludzi głód. 80dkg chleba nie małą porcją, gdy ma się do dyspozycji: ziemniaki, mąkę, tłuszcz, jarzyty, kaszę, ale gdy poza chlebem nie otrzymywało się nic, a organizm wyczerpany, to te 80 dkg (gdyby nie rozsądne dzielenie go przez naszą mamę), wystarczyłoby na jeden posiłek. Chleb ten przypominał raczej cegłę, niż wyrosnięty, pulchny bochen chleba. Chleb kupowaliśmy codziennie, chyba, że była to niedziela, to kupo-

Chlebem i rublami rządziła u nas nasza mama. Ci co szli do pracy, dostawali na śniadanie porcję chleba i herbatę lub kawę robioną ze spalonej na płycie pieca skórki chleba. Ta poranna porcja chleba dzielona była na dwie części, jedną zjadali w domu, drugą brali ze sobą do lasu. Pamiętam jak tata mówił, że wszyscy mają się pilnować w lesie, aby nikt się nie zgubił i w nim nie został. Powracający do baraku ludzie byli wyczerpani, do tego głodni i zziębnięci, toteż obowiązkiem tych co nie pracowali było to, ażeby w izbie było napalone i aby było coś ciepłego do picia. Kiedy była kasza jaglana - to była zupa. Kiedy nie było nic z czego można było coś ugotować, to mama zmniejszała porcję chleba i z tego zaoszczędzonego chleba gotowała taką wodziankę - niby zupę. Była ona słona i ciepła i umożliwiała napełnienie pustego żołądka. Siostry potrafiły racjonalnie dzielić ten swój chleb, mężczyźni nie, jedli go na raz, nie potrafili wymóc na sobie dyscypliny. Tak mijał nam miesiąc po miesiącu. Coraz więcej było ludzi chorych, coraz częstsze były pogrzeby. W okresie letnim nasz jadłospis urozmaicaliśmy sobie jagodami jakie tutaj rosły, oraz jak myśmy to nazywali: dzikim czosnkiem, a jesienią grzybami. Zbierano też tarninę, którą Rosjanie nazywali "Klukwą", bardzo rzadko można było natrafić na czarną porzeczkę. W krótkim czasie w pobliżu na górze zostało wyzbierane wszystko co nadawało się do jedzenia. Dalej poza barak balismy się iść, przecież dalej w odległości setek km, można było natrafić na ludzką duszę, chyba, że na niedźwiedzia. Chłopcy zbierali się w większe grupy i tak próbowaliśmy coś znaleźć. Jeden raz wybrałem się sam na drugi brzeg Uwołgi, ominąłem wyspę i wyszedłem za wyspę. Nie wybierałem się na jagody, lecz o tak sobie, była łądka. Nikt tu chyba nie chodził, bo napotkałem krzak czarnej porzeczki, spróbowałem był bardzo smaczne, potem znalazłem następne. Po czym przestraszyłem się, gdyż przypomniałem sobie zakaz taty,



aby się nie oddalać od baraków. Na chwilę straciłem orientację, gdzie jestem, gdzie jest rzeka. Nie mogłem znaleźć łódki, nogi zaczęły mi się trząść. Okazało się, że jednak jest, tylko ja wyszedłem w innym miejscu. Opłynęłem wyspę i wróciłem do baraku. Od tego czasu nigdy sam nie poszedłem do tajgi. Nad brzegiem rzeki, zbieraliśmy zielone listki czeremszy, o smaku czosnku, zbierać ją można było cały czas idąc w górę rzeki. Udało nam się nazbierać tyle, że mama pokroiła nasoliła i włożyła do garnka. Ta solona roślina służyła potem dwóm celom: do gotowania "niby zupy" i do chleba. Było to bowiem nasze zielone masło. Od kiedy sprowadzono tutaj konie nasz jadłospis uległ urozmaiceniu. Staszek przynosił trochę owsa, mama suszyła go i robiła z tego mąkę. Odbywało się to w ten sposób, że mama obwijala go w szmatkę i młózką lub kamieniem, obtłukiwała go ze wszystkich stron. Oddzielone w ten sposób plewy wydmuchiwala, a sruć pozostawał. Tego sruć gotowała owsianą zupę. Nie ważne było, że rzadkie, ważne, było, że jest. Jeśli to tej zupy mama dodała jeszcze kawałek chleba, można było na chwilę zapomnieć o panującym tutaj głodzie. W 1941r było trochę więcej grzybów, dalej za miejscowością Teja. Byłem tam 10 dni i zbierałem grzyby dla nas i brata Władka. Trochę grzybów mama dodawała do owsianej zupy i w ten sposób jej smak przez jakiś czas był inny. Robieniem sruć z owsa zajmowały się też rodziny z innych izb, a więc u wszystkich tych, co pracowali przy koniach. Po pewnym czasie zaczął dość często przychodzić do nas NKWD-ta i nasłuchiwał na korytarzu. Ktoś mamę ostrzegł i na szczęście nie została złapana na robieniu sruć. Od tej pory gdy zabierała się do tej roboty, zawsze ktoś z nas pilnował na dworze, czy nie idzie NKWD-ta. W 1941r Zosia, Józia, Tosia zostały wydelegowane w górę rzeki Uwołga na sianokosy. Na czas sianokosów otrzymywały prowiant, min. kaszę jęczmienną, której trochę zostawiły w domu. Jak potem

opowiadała Tosia, to one tam same nie miały co jeść i przez szereg dni oprócz grzybów nie miały się czym pożywić. W li-  
cu bądź sierpniu 1941r., wybudowano tutaj stołówkę, można było  
w niej kupić zupę a nawet kaszę jaglaną na gęsto, jeżeli więc  
jakaś rodzina miała pieniądze, to mogła się tu pożywić. Jednak  
pieniędzy nie było dużo i po wykupieniu chleba nie wiele zosa-  
wało. Pamiętam jednak, że i myśmy parę razy tej kaszy kupili.  
Wtedy w domu było wielkie święto. Jeszcze teraz widzę jak mama  
dzieli łyżką kaszę, patrzyliśmy czy ktoś nie dostanie więcej,  
w tym czasie coraz częściej dowiadaliśmy się od Rodjan, którzy  
chodzili do Teji, że w Londynie jest polski rząd i że w Londynie  
podpisano jakąś umowę. W serca polskich zesłańców wstąpiła na-  
dzieja na poprawę naszych losów. Teraz Polacy zbierali się w  
grupki i dyskutowali kiedy, jak będziemy stąd uciekać. Na razie  
żadnych ,oficjalnych wiadomości nie było. Skoro jednak mówili  
o tym miejscowi, to znaczyło, że musi coś w tym być. Tak rozumowa-  
ło wielu zesłańców. Do tej pory nie mieliśmy żadnych wiadomości tak  
o Polsce jak i o Sowietach, nie było tu żadnych gazet ani radia.  
Od czasu do czasu ktoś otrzymał od znajomych z Polski list.  
Nie było jednak w tych listach nic, co by mogło dotyczyć ze-  
słańców, i co się działo w okupowanej Polsce. W tym wypadku każda  
najmniejsza plotka urastała do najprawdziwszej prawdy. Po jakimś  
czasie w możliwość ucieczki uwierzył nasz tata. Trzeba było przy-  
gotować się do podróży, wiedzieliśmy ile tutaj jechaliśmy. Trzeba było  
zabezpieczyć żywność na drogę, to była pierwsza i zasadnicza sprawa.  
Zapadła więc decyzja, że i tak już małe porcje chleba, będą  
jeszcze zmniejszane. Odkrojony kawałek chleba od codziennych porcji  
mama suszyła, trwało to ponad miesiąc. Suszony chleb wisiał w  
worku przy kominie. Łatwo było wyjąć kawałek suchara i zaspoko-  
ić głód, ale świadomość powrotu, ta nadzieja na poprawę losu,

nie pozwoliła nikomu z domowników ryzyć skarbu w woreczku. Kto kiedyś był głodny, to wie jak trudno jest oprzeć się pokusić, ukraść nawet w domu kawałek chleba. Jakże wielka musiała być siła na przewyciężenie głodu i zrobienie wszystkiego aby przygotować się do drogi. Po skończonym roku szkolnym, pozedłem do brata Władka, który teraz mieszkał z bratową Marysią i szwagrem Frankiem w tajdze też w barakach, ale oddalonych od nas na północ ok. 25km. Od nas trzeba było iść do Teji, a później na północ w las. Byłem tam u nich ok. 10 dni. Zbierałem grzyby. Kiedy ich trochę nazbierałem i ususzyłem, trzeba było wracać na Zimową Teję. Przyniesione przeze mnie grzyby, stanowiły dopełnienie naszych racji żywieniowych. Wiosną 1941r NKWD-ta namawiał mieszkańców, żeby sadzili ziemniaki. Nikt tego nie brał poważnie. Przecież nie było ani pola, ani ziemniaków i nikt nie wierzył, żeby w ciągu 3 miesięcy wyrosły ziemniaki. Nasz tata dał się przekonać. Na brzegu rzeki za budynkiem piekarni, skopaliśmy trochę ziemi i posadziliśmy 1,5 wiadra ziemniaków. Dostaliśmy je w kantorze, za co potrącone zostały zarobki. Dostaliśmy 2 wiadra, jednak część z nich ugotowaliśmy i była to uczta. Przecież prawie 1,5 roku nie jedliśmy ziemniaków. We wrześniu wykopaliśmy worek ziemniaków, cieszyliśmy się bardzo. Przez kilka dni nie byliśmy głodni, a mama mogła trochę więcej chleba przeznaczyć na suszenie. Z obydwu baraków ziemniaki sadziło tylko kilka rodzin, nie wiem dlaczego inni tego nie robili. Od czasu przybycia do Zimowej Teji w marcu 1940r do momentu ucieczki w październiku 1941r, byliśmy cały czas niedożywieni. Wśród Polaków wywiezionych stan wiedzy sanitarnej był równy wiedzy wiejskich babek, nakładały się na to warunki w jakich żyliśmy. Brak podstawowych urządzeń, mydła, naczyń, głód, brak witamin towarzyszył nam od początku naszego zesłania. Po nie-

długim czasie od wytopienia wszów, pojawiły się pluskwy i z czasem było ich tak dużo, że musieliśmy co pewien czas polewać wrzątkiem wszystkie ściany, prycze, półki. Po takim zabiegu przez kilka dni można było spokojnie spać, po tym plugastwo to pojawiało się znowu, wchodziło na sufit, spadało na twarz i grzało z zaciekłością. Jakby tego było mało, pojawiły się na ścianach roje karaluchów. Gdyby parzenie ścian odbywało się równocześnie i u sąsiadów, efekt byłby lepszy, a tak przez szpary w ścianie całe to "Towarzystwo" przechodziło spowrotem. Całość tu warunków miała niewątpliwie wpływ na zdrowotność zesłańców. Podrzeby były coraz częstsze. Zanim nadeszła wiosna, zmarło wiele niemowląt, i osób w podeszłym wieku. Omentarz był za naszym barakiem na brzegu rzeki Teji. Pamiętam, jak w baraku Brzeżany zmarło małe dziecko, to nie było z czego zrobić trumienki i ciało dziecka leżało parę dni pod oknem. Pochowane został dopiero, gdy ojciec dostał deskę na trumnę. Dorosli po pracy siedzieli w swych izbach, było bowiem zimno i dzień był krótki. Nasz Tadek słabł z każdym dniem, kaszlał i nie miał apetytu. Pewnego dnia przyszła do nas jakaś kobieta i powiedziała, że Tadek ma obniżony żołądek. Zaczęła mu ten żołądek masować i podnosić. Nic mu to jednak nie pomogło, ale powstała w nim ta świadomość, że ktoś się nim zajmuje i interesuje. Leżał cały czas na pryczy, wychodził tylko za swoją potrzebą. U sąsiadów za ścianą chorowała na gruźlicę (tak, jak nasz Tadek) 18-letnia dziewczyna, strasznie się ona męczyła, nie spała po nocach a wraz z nią jej matka, która dzień i noc czuwała przy łóżku chorej. Kiedy przyszła krytyczna noc, dziewczyna uspokoiła się, jej matka zasnęła tak głęboko, że nie słyszała głośnego, charkliwego krzyku córki. Kiedy się przebudziła, córka już nie żyła. Rozpacz matki była przejmująca, w tym zapamiętaniu krzyczała też na sąsiadów, że

jej nie obudzili. Po śmierci córki zamieniła się izba z 4arębami. Zareba, nie znający stolarki, teraz robił trumny, był na ten czas roboty zwalniany w pracy w lesie. Zamówień było dość dużo, tak, że do tajgii nie chodził, pracował prawie każdego dnia, gdyż zamówień przybywało głównie na przełomie 1940-1941r. Jeśli w pierwszym okresie umierały niemowlęta i ludzie w starszym wieku, to teraz śmierć nie przebierała. Umierali ludzie w sile wieku. Nasz Tadek zmarł wczesną wiosną tj. na początku czerwca 194 r, o godzinie 4 rano. Spałem pod sufitem z Alojzym, Staszkiem, Bronią i Tosią, obudziłem się, gdy mama pukała do sąsiadów i pytała która godzina. Zarebowa odpowiedziała jej, że jest 4, na to mama "nasz zasnął". Tak więc on pierwszy zasnął snem wiecznym, po czterech miesiącach od opuszczenia naszego domu. Miał 16 lat. Tata zrobił trumnę, sąsiedzi krzyż na którym Kazik Kołodziej napisał "tu spoczywa Tadeusz Gerlach, urodzony w 1925r, zmarł w 1940r. Pokój jego duszy". Dowiedzieliśmy się, że niektórzy kopali groby przez 2 lub więcej dni. Ziemi tutaj było bardzo mało. Już po powierzchni był kamień, trafiały się też duże głazy, zima dodatkowo utrudniała kopanie grobów, gdyż była zamarznięta. Byliśmy przecież na obszarze wiecznej zmarzliny. Na cmentarzu na którym chowani byli tylko Polacy, było już ok. 20 grobów. Od śmierci Tadeka nastąpiła u nas "czarna seria" chorób. Zaraz po pogrzebie na tą samą pryczę położyła się Tosia, jej choroba wystąpiła nagle. Przez szereg dni była nieprzytomna i majaczyła, czuwaliśmy przy niej dzień i noc. Każdą teraz znaną jagodę oddawaliśmy Tosi. Nie mieliśmy żadnej pomocy medycznej. Nadszedł moment krytyczny. Tosia nie poznawała nas i nie przyjmowała jedzenia. Poza modlitwą nie mogliśmy jej nic więcej ofiarować. Szczęściem w tym czasie do Zimowej Leży przyszedł lekarz-Polak, potomek któregoś z zesłańców z powstania. On to właśnie zabrał się do leczenia tutaj ludzi.

Ten człowiek nie wychodził prawie z baraków, u Tosi był i dwa razy dziennie. Był on nie tylko lekarzem lecz również Polakiem pragnącym przyjść z pomocą swym rodakom. U Tosi stwierdził on tyfus i zapalenie płuc, potem chodził pieszo do Teji i przyniósł jakieś lekarstwa. Było ono podawane Tosii co parę godzin. Pielęgnował ją i spędzał przy niej czas, siedział przy pryczy, poprawiał pościel. Któregoś dnia po zbadaniu chorej powiedział do nas: "kryzys myślę, że już minął, może da się ją uratować". Na tę wiadomość mama zaczęła płakać a tata wyciągnął rękę do lekarza, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego słowa. Byliśmy przekonani, że to nasz lekarz ją uratował i istotnie tak było. Ludzie nazywali go "nasz lekarz". Przez krótki czas przez jaki przebywał on wśród nas, pomógł bardzo wielu ludziom, i zasłużył na miano człowieka przez duże "C". Władze radzieckie, nie wiadomo czym się kierowały, ale b. szybko odwołały go z Zimowej Teji. Zesłańcy zostali znowu bez jakiegokolwiek pomocy medycznej. W jednym z budynków leżąca nad brzegiem Uwołgi, była jedna większa i druga mniejsza izba. W tym domu urządzony był szpital. W tej większej izbie stały łóżka (5-6), w małym pokoiku przebywała Rosjanka i na zmianę z Polką pełniły dyżur. Polkę znaleźliśmy, była jedną z nas i wiedzieliśmy, że nie miała żadnego przygotowania medycznego. To nie miało zresztą znaczenia, bo w tym domku, nie wiadomo dlaczego zwanego szpitalem, żadnych leków nie było i ich nie podawano. Ktoś z nas nazwał ten budynek trupiarnią. Tosia przychodziła do zdrowia powoli i już wychodziła z baraku, gdyż było ciepło. Nic nie wskazywało, że znowu ktoś z nas zachoruje. Nasza siostra Hela z mężem Franciszkiem Szelastem mieszkała wraz z bratem Władysławem z żoną Marysią i synkiem Marianem. Franek z Władkiem stanowili jedną brygadę a ich żony pomagały im w miarę możliwości.

Otóż Hela była w ciąży i kiedy nadszedł czas rozwiązania, nie wiem dlaczego została przewieziona łódką do Teji. Pamiętam, że powróciła do baraku bez dziecka. Nie potrafię powiedzieć co się stało. Niedługo po jej powrocie zachorowałem i ja. Leżałem na pryczy z której wstała Tosia. Byłem nie przytomny, nie wiem kto i jak przeniósł mnie do szpitala-trupiarni. Z całego tego pobytu w bolnicy zapamiętałem moment, jak ubierali i wkładali do trumny raz jakiegoś chłopca a raz dziewczynę. Dość długo nie odzyskiwałem przytomności. Pamiętam, że był u mnie tata i przyniósł mi chyba parę okrągłych ciastek piernikowych. Skąd je wziął nie mam pojęcia, dostać to tu była nie podobna. Były one twarde i nie miałem siły by je ugryść. PO malutku przez kilka następnach dni udało mi się te ciastka zjeść. Tata ucieszył się, gdy mu powiedziałem, że zjadłem. Nie pamiętam co w tym szpitalu jadłem, chyba nie wiele, bo wyglądałem jak kościotrup, chudy, oczy zapadnięte, do tego wychodziły mi włosy, teraz już było wiadomo, że miałem tyfus. Pamiętam też, że nosem ciekła mi krew, która potem krzepła i musiałem oddychać ustami. Nie pamiętam ile leżałem w tej bolnicy, ale ok. 2 tygodni. Gdy już wyzdrowiałem, pamiętam ojciec przyszedł wziął mnie na barana i zaniósł do baraku. Leżałem na pryczy na której nie dawno zmarł Tadek, a z której ledwo wstała Zośka. Jak dotąd to u nas była jedna śmierć i dwoje chorowało. U innych rodzin chociażby u Wierzbickich, którzy mieszkali w tym samym baraku, pochowali już troje. Pewnego dnia brat Staszek wyniósł mnie na zewnątrz i położył na kocu pod oknem baraku. Po leżałem tam chwilę i chciałem iść do izby. Trzymając się ściany starałem się dojść do drzwi wejściowych, lecz tu trzeba było pokonać przeszkodę w postaci trzech schodów. Udało mi się wejść tylko na pierwszy schodek. Przy próbie wdrapania się na drugi, straciłem równowagę i przewróciłem się na plecy.

tak chwilę leżałem i nie mogłem się podnieść. Ktos przyszedł i zaniósł mnie do naszej kwatery. Więcej nie próbowałem sam chodzić. W miarę jak wychodziłem odzyskiwałem siły. Włosów było coraz mniej, ale za to się przybywało. Po miesiącu jedne włosy były długie innej rzadkie, pomiędzy nimi wychodziły nowe. Dość dziwnie to wyglądało. Kiedy już wydobrzałem mama nożyczkami obcięła mi włosy. Teraz zachorował nasz najmłodszy Alojzy. Przebieg choroby był podobny do tego jaki był u mnie i u Tosi. Pamiętam, jak leżał on na pryczy a nad nim rozwieszony był sznurek na którym wisiał ł-ręcznik i coś tam jeszcze. Byłem w izbie i słyszałem co on mówił: "tu macie szynkę a to kiełbasę, a mnie nie chcecie dać" popatrzyłem na mamę, nic nie powiedziała tylko zdjęła to co wisiało na sznurku. Tak oto człowiek chory nie mający świadomości, miał na myśli jedzenie. Nawet wtedy podświadomie istniała potrzeba troszczenia się o to co jutro będziemy jeść. Rodzice nie dawali brata do tej bolnicy-trupiarni. Domownicy mieli już trochę doświadczenia w obchodzeniu się z chorymi. Nie podawano choremu żadnych leków, wyjątkiem była herbata z uzbieranych coraz rzadziej jagód w tajdze. Widac taka była wola Boga, bo Alojzy po kilku tygodniach wracał do zdrowia. Na Zimowej Teji nikt z naszej rodziny nie chorował i nie zmarł. Takie dolegliwości jak ból głowy, podwyższona temperatura, odmrożenie, przeziębienia nie były traktowane przez zesłańców jako choroby. Trzeba było zajmować się codziennymi sprawami, iść do pracy, aby dostać kartkę na chleb i tych trochę rubli na jego wykupienie. Pewnego dnia otrzymaliśmy wiadomość, że zmarł nasz sąsiad Józef Nagusiak, który mieszkał z rodziną w baraku Bogatki ogległym o 3km. od nas. Nie chowano go tam, lecz tu na Zimowej Teji, gdzie był cmentarz. Łódką przywieziono zwłoki i mężczyźni na ramionach



nieśli trumnę. w tym samym czasie Franciszek Szłapa wraz z Józefem Magusiakiem kończyli robienie krzyża. Obok kilku Rosjan, rżnęło drzewo na deski. Kiedy kondukt żałobny przechodził obok nich, przerwali pracę, zdjęli czapki, i z powagą przyglądali się Polakom. "achowali się godnie jak przystało na chrześcian. W okresie czerwca i lipca 1940r, ci co leżeli w zimie w izbach w baraku, teraz wyszli na zewnątrz. Można było zobaczyć wielu młodych ludzi, niektórzy chodzili o kulach własnej roboty i o laskach. To byli ci co mieli poodmrażane nogi w zimowej porze. Kiedy nadeszła jesień 1940-1941, ilość zachorowań i pogrzebów gwałtownie wzrosła. Teraz chorowali wszyscy, a nie jak w pierwszym okresie niemowlęta i starcy. Pamiętam śmierć W. Szłapy, Kochanowej, W. Boronia, żony Pawła Jańkonia, kobiety 30-letniej, pozostawiła ona kilkuletnią dziewczynkę Wisię. Tutaj podam co się z nią działo, gdy ojciec szedł do tajgi do roboty, a isé musiał, bo by nie dostał kartek na chleb. Otóż przez jakiś czas pilnowali jej sąsiedzi którzy do tajgi nie chodzili. Ale przyszedł taki czas, że nie miał jej z kim zostawić. Potem jak nam sam opowiadał, wystarał się o wódkę. Przed wyjściem do pracy, brał na miseczkę chleba, zalał go wódką i taką papką karmił Wisię. Dziecko po spożyciu tego spało aż do przyjscia ojca z pracy. Wtedy otzymywało jedzenie i mogło pobiegać po izbie. Pamiętam Wisię z późniejszego okresu tj. z 1942r 1943r kiedy czasem przebywała u nas. Utknęło mi w pamięci to, że ta dziewczynka nigdy się nie uśmiechała. Myśmy żeż się nie śmiali, ale my wiedzieliśmy gdzie żyjemy i w jakich czasach, ona była przecież dzieckiem. Ludzie chorowali przede wszystkim na: tyfus, galopującą gruźlicę. Te dwa nieszczęścia powodowały największe spustoszenia wśród mieszkańców. Wczesną zimą 1940r nasz NKWD -ta wpadł na iscie szatęński pomysł. Były w zimie kłopoty z wykopaniem grobów ze względu na

zmarzlinę i kamienie. Wiedział on o tym pamiętając poprzednią zimę. Otóż to bolszewickie nasienia kazało kopanie grobów na zapas. Polecił on po każdej osobie z rodziny kopać groby, zamiast iść do tajgi. W barakach zapanował popłoch. Rozmowy dotyczyły tego pomysłu, jak można kopać groby dla żywych ludzi, tego jeszcze nie słyszeli nawet najstarsi mieszkający tu zesłańcy. Pamiętam takie to makabryczne żarty: spotyka jeden drugiego i pyta "no i co wykopałeś już sobie grób?". W rodzinie Wierzbickich do października 1941r zmarły kolejne trzy osoby, tak więc z 7 osobowej rodziny pozostała jedna, dorosła już dziewczyna. To ona chowała wszystkich sześciorgo w tym rodziców. W swojej rozpaczce mówiła do sąsiadów "kto pochowa mnie?". Nie znam jej dalszych losów, bo ona nie uciekła z Zimowej Teji razem z nami. Oprócz panujących tu chorób, które wymieniłem, panował tu świerzb, cynga, czyli szkorb, różnego rodzaju owrzodzenie. Były też rany na nogach po odmrożeniach. Oprócz tego w 1940r aż do wyjazdu z ZES I, ludzie chorowali na tzw. kurzą ślepotę, powodowaną brakiem witamin. Było coś w tym niesamowitego, choć nic nie bolało, po zachodzie słońca ludzie wychodzący z baraku mieli wyciągnięte ręce i tak szli, znając drogę na pamięć. Gorzej było gdy dwóch takich natrafiało na siebie. Ci co sami nie mogli chodzić, aby nie zabłądzić lub wpaść do rzeki, brali kogoś z rodziny, którzy tej dolegliwości nie mieli. Pamiętam, jak był wieczór, siedziałem na swej prycy pod suritem, na stole świeciła się lampa, zapytałem taty, dlaczego oprócz zielonego punktu nic nie widzę. Otrzymałem odpowiedź, że gdy zaświeci słońce, to będę widział i że bym się nie bał. Na wiosnę 1941r zmarł teść naszego Władka Wojciech Szelast. Pochowany został w lesie, tam gdzie mieszkał, tj. ok. 25km od Teji. Niedługo po nim zmarł syn Władka Marian, miał 5 latek. Na pociechę mieli drugiego synka urodzonego jeszcze w Zimowej Teji. Tam u nich był

jeden duży barak, więc ludzi było mniej, jeśli chodzi o choroby i zgony, to jak wynikało z relacji Władka z którym spotkałem się po wojnie w szpitalu wojskowym opodal Katowic, gdzie leczył się po wycofaniu jego jednostki z Berlina, nie było żadnych różnic. Panujący głód i choroby dziesiątkowały ludzi. Kiedy byliśmy już w drodze, ucieczki z Teji, to starsi rozmawiali min. o tym, że zmarło tam ok. 80 osób. Urodzeń było bardzo mało, tak więc gdyby nie nastąpiła w najbliższym czasie zmiana w wyżywieniu, ubraniu, to najprawdopodobnie w ciągu 5 lat, nikt z nas by w tych warunkach nie przeżył. Na cmentarzu zaczęło brakować już miejsc. Taki to właśnie los zgotowali tu Polakom. Wynieśliśmy z domu zwyczaj, że każdy z nas modli się indywidualnie. Gdy byliśmy mali pacieierz, rano i wieczór odmawialiśmy głośno. Nie inaczej było tu na zesłaniu, każdy z nas szukał spokoju i skupienia w cisłości. Nikt z domowników nie wychodził do pracy nie zrobiwszy znaku krzyża. Jakiś czas obowiązywał tutaj pięciodniowy czas pracy. Z tego powodu, wolny dzień przypadał w któryś dzień tygodnia a w niedzielę trzeba było iść do pracy. Bardzo to wszyscy zesłańcy przeżywali, nie mogli się z tym pogodzić, aby w niedzielę iść do roboty w lesie. Pamiętaliśmy o zasadzie "by dzień święty święcić", cóż jednak było robić, do pracy trzeba było iść. Ponad to, miejscowy NKWD-ta groził sądem, jeśli się nie poszło do pracy. Po jakimś czasie zniesiono pięciodniowy dzień pracy i niedziele były wolne. Oczywiście nie było tu mszy świętej, gdyż nie było z nami kapłana. Tesknota za kościołem i mszą była we wszystkie dni świąteczne, starsi mieszkańcy spotykali się w izbie lub na zewnątrz baraku i rozmawiali o kościelnych "świętach, procesjach, itp. Wszystkie pogrzeby przypominały obrządek wyniesiony z ziemi rodzinnej. Były modlitwy w izbie żałoby, procesja,

krzyż z napisem kto jest pochowany i kiedy umarł. Żracji tego, że jako rodzina zajmowaliśmy całą kwaterę w maju zdecydowano, że u nas odbywać się będą nabożeństwa. Ktoś z zesłańców przyniósł figurkę Matki Boskiej, tata zrobił małą półeczkę-taki mały ołtarzyk dziewczyny przybrały go jakimś roślinami. Znalazły się też i świece. 1 maja zeszło się do nas trochę ludzi z baraku Podchajce, mimo, że była to środa a więc dzień powszedni. Po pracy i posiłku, rozpoczęło się nabożeństwo, prowadził je nasz ojciec, następnie prowadzili sąsiedzi, także każdego dnia odprawiał je kto inny. Podczas tych mszy spiewano litanię do Matki Boskiej Loretańskiej, i pieśni maryjne. Na zakończenie wszyscy głośno odmawiali "Pod Twoją Obronę". Nie wszyscy mieszkańcy przychodzili w te dni majowe do nas. Po pierwsze dla tego, że nie wszystkie rodziny o tym wiedziały, nie mówiło się o tym tak szeroko, ażeby nie padło podejrzenie, że jest jakaś organizacja, która to wszystko przygotowuje. Trzeba było tak zrobić aby ludzie sami przyszli, ażeby nie było żadnego organizatora. Przez cienkie ściany słychać było modlitwy. Toteż z każdym dniem przybywało uczestników, ludzie się nie mieścili i stali na korytarzu. Spiewane pieśni słychać było daleko. Przyszli też ludzie z baraku Brzeżany. Po jakimś czasie zjawił się NKWD-ta, wszedł do naszej izby, chwilę postać, posłuchał i poszedł sobie. Przychodził jeszcze w inne dni. Nic nie mówił, tylko patrzył i słuchał. Nasza rodzina nie miała jednak z tego powodu żadnych kłopotów, że udostępniłiśmy naszą kwaterę na modlitwy. Na zewnątrz baraku nie wychodziliśmy, baliśmy się o podejrzenie zorganizowanie manifestacji. Także w czerwcu odbywały się nabożeństwa ku Najświętszemu Sercu Pana Jezusa, także w baraku Brzeżany. Jedną, pieśń była powodem głębokiego współuczestnictwa we mszach, pieśń o odmianę losu zesłańców, była to pieśń "Pójdź do Jezusa".

Ktoś z obecnych rozpoczął: "Pójdź do Jezusa, w nim tylko szukać  
pociechy nam. On nas napoi krwią swoich ran, on ojciec, lekarz,  
Pan". I dalej śpiewano refren: "słuchaj Jezu jak Cię błaga lud  
słuchaj, uczyni z nami cud". Przy słowach: "przemień o Jezu smutny  
ten czas, o Jezu pociesz nas", głos uczestników nabożeństwa zała-  
mywał się. Także prawdziwie brzmiała za pieśń w ustach zesłańców,  
jak wielka była wiara tych, prostych ludzi zebranych tu na dale-  
kiej północy, w syberyjskiej tajdze. To było pocieszające i jedno-  
czące nas wszystkich. Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Były to  
pierwsze święta na wygnaniu. W tym roku wigilia przypadała we  
wtorek. Już w poniedziałek dziewczyny zrobiły porządek w izbie,  
najważniejsze było jednak to, że mieliśmy w izbie choinkę. Była  
przystrojona bardzo skromnie w jakies papierowe wycinanki,  
ale i to było wspaniałe-święteczne drzewko w Zimowej Teji.  
Nie było jednak możliwości przygotowania świątecznego posiłku,  
bo nie było z czego go zrobić. W pierwszy dzień święta wszyscy  
musieli iść do pracy, dopiero wieczorem, gdy wszyscy byli już  
w izbie, śpiewaliśmy: "Wśród nocnej ciszy". Był to śpiew wewnętrz-  
nej potrzeby, niż z radości. Myśli nasze biegły hej na zachód,  
do Polski do Podchajec, do tych chwil, kiedy cała rodzina zbierała  
się przy stole, łamała się opłatkiem i śpiewała kolędy. Święta  
Wielkanocne przypadały w 1941r na 13 kwietnia, było jeszcze  
zimno i święta zapamiętałem jako wyjątkowo głodne. W czercu i  
maju, wzorem roku ubiegłego, odprawiano msze. Te nabożeństwa wlewa-  
ły w nasze dusze nadzieje na odmianę losu. Nie przyjmowaliśmy  
myśli, że świat o nas zapomniał, że nikt się o nas w tej tajdze  
nie dowie, że tu pomniemy. Przez cały czas zesłania mieliśmy w  
Bogu nadzieję, pozwalała ona na wiarę w zmianę losu na sens trwa-  
nia i walki o codzienną porcję chleba. W maju 1941r cywilny urzę-  
dnik chodził od izby do izby i spisywał dziędi i młodzież.

nie wyjaśniał jakiemu celowi mają służyć te spisy. Dopiero w czerw-  
cò okazało się, że ma być budowana szkoła. Nasz tata i kilku innych  
mężczyzn, zostali wyłączeni z brygad pracujących w zajdzie, i przy-  
dzieleni do brygady budowlanej, którą kierował Rosjanin. Posta-  
wienie drewnianego budynku nie było przedsięwzięciem wielkim,  
nie kopano żadnych fundamentów, wyrównano tylko powierzchnię,  
gdzie miał stanąć budynek. Przecinanie kolejnych sosen, uszczelnia-  
nie ich mchem, nie sprawiało budowniczym większych kłopotów. Pociany  
klas rosły w dość szybkim tempie, tak, że już w sierpniu budynek był  
prawie gotowy. W lipcu dokonano przesiedleń niektórych rodzin, cho-  
dziło o rodziny które nie miały dzieci w wieku szkolnym, a mieszka-  
jących w Zimowej Teji. Przesiedlano je na północ, 5km od Teji.  
Tam też trafił nasz Wladek z Marysią i Hela z mężem Frankiem. Tutaj  
urodził się Bolek, tuż po przybyciu na nowe miejsce. W końcu sierpnia  
przywieziono łódkami kilka stołów i krzeseł. Cała szkoła miała pięć  
pomieszczeń. Trzy z nich przeznaczone były na klasy, jedno małe słu-  
żyło za pokój nauczycielski i jedno za przedpokój. Nie było koryta-  
rza i z tego powodu chcąc dojść do ostatniego pomieszczenia, trzeba  
było przechodzić przez wszystkie klasy. Dzieci podzielone zostały  
na 6 grup, klasy od 1 do 6, z tym, że do 6 klasy chodziła też młodzież  
starsza, nawet kilku było takich, co przed wojną chodziło do 2 klasy  
gimnazjum. Ja chodziłem tu do 6 klasy, Tosia chociaż starsza ode mnie  
też została zakwalifikowana do 6 klasy, najmłodszy nasz brat był w 4  
klasie. Przydzielanie starszych do 6 klasy, tłumaczone było tym, że nie  
było tu dalszych klas. Ze względu na to, że było 6 grup a tylko 3  
pomieszczenia klasowe, starsze klasy chodziły na drugą zmianę. Pamiętam,  
że w zimie wracałem, gdy było już ciemno. Z kolegów z którymi  
chodziłem do szkoły, która nazywała się tutaj: "ruskaja niepołnaja  
srednaja szkoła", pamiętam: Czesława Szelasta, Adolfa Kołodzieja, Kazi-  
mierza Kołodzieję, Władysława Łoza, Jana Michalczeszyna, Mariana Dempa-

rta, Mieczysława Szłapę, Eugeniusz Magusiał, Iwana Beja-gimnazja listę, Józefa Targosza. Było nas więcej, ale czas zrobił swoje i pamięć zawiodła. Pamięta, że połowę klasy stanowiły dziewczyny, Przez jakiś czas chodziło z nami do klasy roduństwo-Rosjanie, był to okres w którym bolszewicy na jakiś czas przestali prześladować religię. Pamiętałem tych dwoje, jak przed jedną z lekcji żegnali się potrząsując się na siebie. Trudno nazwać to wiarą, ale umieli to robić. Ich pobyt na Zimowej Teji i obecność w szkole, wziął się chyba stąd, że wszyscy uczniowie otrzymali podręczniki i zeszyty, oni też to dostali, jak nam mówili w szkole tej dzieci pisały na gazetach, bo nie było zeszytów. Po kilku tygodniach wyjechali oni z zimowej Teji. Nauczycielami byli Rosjanie 2 mężczyźni i 4 kobiety. Zawodowym nauczycielem był tylko dyrektor, pozostali to absolwenci 10-latków, a jedna osoba nie miała nawet tego. Dyrektor uczył matematyki, fizyki i rosyjskiego - młody nauczyciel Wasylj Simionow. Geografii i biologii uczyły młode nauczycielki. Z przedmiotów jakie obowiązywały w naszej klasie zapamiętałem: j. rosyjski, matematyka, fizyka, geografia, historia, czystopisanie. Plan lekcji był tak opracowany, że w jednym dniu mieliśmy nawet 2 godziny jednego przedmiotu. W czasie lekcji było normalnie, tzn. omawianie tematu przez nauczyciela, pytania, stopnie. Ocen było pięć nie jak u nas w szkole - 4. Po kilku tygodniach, gdy poznaliśmy lepiej rosyjski, lekcje były do siebie podobne. Poznaliśmy swoich nauczycieli i wiedzieliśmy czego można od nich oczekiwać. Okazało się, że dyrektor lubił wódkę i na lekcję nawet rano przychodził zawiany. Po 2 miesiącach został zmieniony na Leonida Władimirawa, który zaczął nas uczyć historii. Przerabialiśmy okres niewolnictwa i nigdy nie zachaczył o tematy współczesne. Wasylj Simionow mimo, że był młodszy od dyrektora, czasami próbował z nami rozmawiać. Na jednej z lekcji któryś z chłopców

bawił się przywiezioną z domu książeczką PKO, zabrał mu ją i chodząc po klasie próbował ją czytać. Chłopiec wyjaśnił mu do czego ona służyła. Na pierwszej str. przeliterował wyraz "Mościcki", była to dedykacja prezydenta o celowości oszczędzania. Zaczęła się dyskusja na ile lat był wybierany polski premier, nauczyciel twierdził co innego, niż nasi koledzy. W ten sposób do końca lekcji mowa była o Polsce i jego prezydencie. Oczywiście lekcje odbywały się w j. rosyjskim, nie wszystko rozumieliśmy, czasem dochodziło do zabawnych sytuacji, gdy ktoś z nas nie rozumiał o co chodzi, pytał kolegów co on chce. Po uzyskaniu odpowiedzi, uczeń odpowiadał w j. rosyjskim. "az na lekcji rosyjskiego, Siemionow zapytał nas dlaczego nie chcemy się uczyć, szczególnie j. rosyjskiego. Twierdził, że trzeba się uczyć gdyż w przyszłości będziemy nauczycielami, inżynierami. Odpowiedź brzmiała, że nie po to byliśmy wywożeni na Sybir, żeby być inżynierami, lecz po to, abyśmy tu pozdychali. Przerwał rozmowę i więcej do tego tematu nie wracał, myślę, że dokładnie wiedział jak głośno mówimy, ile jest zesłańców, pogrzebów. Gienia Matusiak, jako jedna osoba z naszej grupy mieszkała 3 km od Zimowej Teji. Dopóki Uwołga nie zamarzyła, przewożona była tutaj przez swoich braci na prawy brzeg i pieszo trzymając się brzegu szła do Teji. Po lekcjach przewożona była przez mieszkańców Teji na lewy brzeg rzeki i znowóż samotnie wędrowała do swojego baraku, bez względu na pogodę i lęk. Gdy rzeka zamarzyła wędrowała po lodzie. W tych jej wędrowkach było coś niesamowitego. Była ona odważną dziewczyną i mieliśmy dla niej szacunek. Na wiosnę 1941r nasz nauczyciel powiedział do nas, abyśmy mu coś zaśpiewali po polsku. Gimnazjaliści wstając z ławki rozpoczęli: Jeszcze Polska nie zginęła. Za ich przykładem wszyscy wstali i głośno śpiewali. To było coś



niesamowitego, trzeba było widzieć chłopców-zesłańców śpiewających polski hymn, i to gdzie, tu w środku syberyjskiej tajgi. Nie potrafię określić czy był to śpiew rozpaczy, nadziei, czy aby zrobić nauczycielowi na złość. Bardzo pięknie zachował się Iwan Bejb-Ukrainiec, też wstał, czy śpiewał nie wiem, bo siedział przede mną w ławce. Po tej lekcji nauczyciel nigdy nie poprosił, abyśmy pokazali co umiemy śpiewać. Rok szkolny zbliżał się do końca. Pewnego dnia zostaliśmy zaskoczeni wiadomością, że pomimo ocen zbieranych podczas nauki, będą egzaminy. Pamiętam taki egzamin z geografii, egzaminowała nauczycielka z danego przedmiotu w obecności dyrektora. Wiedzieliśmy już, że aby zdać na bardzo dobrze, to oprócz wiedzy o danym kraju, jego przemyśle górach, rzekach itp., trzeba było podać liczbę mieszkańców i powierzchnię w km<sup>2</sup>. Toteż starsi uczniowie dane te wypisali ołówkiem na mapie. Wyciągnąłem los i miałem odpowiadać o Chinach. Podszedłem do mapy przagładałem się jej i przez chwilę nic nie mówiłem, jak na złość nie mogłem znaleźć tych danych, gdy je znalazłem, z mapy odczytałem liczby ludności i powierzchnię. Dalej już poszło gładko, jako, że nie miałem z geografiami żadnych trudności. Ocena ostateczna - atliczna. W końcu roku każdy z nas otrzymał świadectwo, niestety nie zachowało się ono i gdzieś w czasie gdy byłem już w wojsku, zaginęło.

Określę dokładnie nasze położenie. Zimowo Teja, poprawnie Teja-zimawio, leży na wschód od Jenisieja i na północ od Krasnojarska. Nie jest to miejscowość gdzie jest jakaś władza, jest to kawałek płaskiego terenu, widłak rzek Teja i Uwołga, na którym do tej pory stało kilka domków służących jako postój w podróży a na którym postawiono 2 duże baraki dla polskich zesłańców, Odległa od nas w kierunku północnym, o jakieś 20km Teja, znajdu-

je się na 60,5 stopnia szerokości geogr. północnej i 93 stopnie długości geogr. wschodniej. W linii prostej do rzeki Jenisiej mieliśmy ok 150 km, a do Krasnojarska 500 km. Krasnojarsk to była najbliższa stacja kolejowa. Droga jaką trzeba było przebyć aby się tam dostać wynosi prawie dwa razy tyle. Przez cały pobyt tu nie spotkaliśmy żadnych zwierząt oprócz dochodzących do 1,5 m długości węży, trochę ryb w rzece. W zimie 1940-1941 r. w pobliże baraku przyleciał jeden ptak podobny do gołębia. Oprócz tego były tu niedźwiedzie brunatne, ale w pobliże baraków nie podchodziły. Na sianokosach gdzie były nasze dziewczyny złożył im taki niedźwiedź wizytę, było trochę zamieszania, ale w końcu oddalił się w las. Ludności w tych okolicach było b. mało. Na 1 km<sup>2</sup> przypadało mniej niż 1 człowiek. Byli tutaj Rosjanie, wywiezieni Polacy no i tubylcy - Ewenki. Spotkaliśmy ich dwukrotnie. Pierwszy raz gdy kierowali się ze swoimi reniferami na ich grzbietach, na południe i drugi raz gdy zimą kierowali się na północ. Byłem przy ich obozowisku i oglądałem ich z bliska, nie można było z nimi porozmawiać, gdyż nie mówili po rosyjsku. Dla nich nie było "normy". Z naszej ławoczki brali dużo chleba i jakieś inne produkty. Później Rosjanie nam mówili, że ich nie obowiązuje norma, gdyż dają państwu złoto, kury i mięso. W sierpniu 1941 r. w szkole odbyło się spotkanie Polaków z sowieckim oficerem. Okazało się, że był to politruk. Nie wielu Polaków przyszło na to spotkanie. Zapamiętałem, że mówił on o aktualnej sytuacji politycznej, o tym jak Bułgarzy, Węgrzy opuszczają Hitlera. O Polsce nie było mowy, ani słowa. Niedługo potem, chyba we wrześniu, odbyło się następne spotkanie na którym powiedziano nam, już oficjalnie, o tym, że jak zechcemy, to będziemy mogli wyjechać z Zimowej Teji. Nieco później przywieziono druki dość dużych

rozmiarów. Były to paszporty. Nadruk wykonany był w trzech językach, rosyjskim, polskim i francuskim. Trzeba było je wypełnić. Robiono to w szkole, zajęli się tym gimnazjaliści. Mój ojciec brał brał w tym udział w charakterze doradcy. Po paru tygodniach otrzymaliśmy je podpisane, kto i gdzie je podpisywał, nie wiem. Nie zachował się żaden egzemplarz. Kiedy tata otrzymał do ręki paszport, sprawy wyjazdu z Zimowej Teji nabrały tempa. Przygotowania do ucieczki czyniliśmy od kilku tygodni, parę kg. suchego chleba już mieliśmy, żadnych innych produktów nie posiadaliśmy, bo nie były one tu osiągalne. Trzeba było się spieszyć, był październik, gdy zamarzną rzeki, nie będzie jak i czym uciekać, a tak mamy do wyboru wędrówkę pieszo lub tratwy. Chodziło o to, aby kierować się na południe, jak najbliżej jakiejś stacji kolejowej, a potem jak Bóg pozwoli na zachód, jak najbliżej Polski. Taki był plan naszej rodziny, jak się później okazało, nie tylko naszej. Pewnego październikowego dnia tata powiedział, że więcej do pracy nie idzie i, że szykujemy się do ucieczki, gdyż nikt z miejscowych Rosjan nie myślał o pomocy dla Polaków. Nie było nie tylko pomocy ale i ułatwień w postaci jakiś rozliczeń, udostępnienia łódki. Wprost przeciwnie, poszczególni ojcowie rodzin byli wzywani do kantoru i namawiani do pozostania, że nie ma po co i gdzie jechać, że w całym sowieckim Sojuszu chętno żyć, że nadchodzi zima, co będziemy jeść, przecież kartek nie dostaniemy. Wiele było w tym racji, toteż, że w Sojuszu wszędzie diabelnie "charyszo", przekonaliśmy się nie-bawem. Byliśmy jednak zdecydowani i nie było odwrotu. Nadzieja na polepszenie losu, na powrót do Polski było b. duża i mocno wierzyliśmy, że tylko ucieczka z tej okrutnej ziemi jest dla nas wybawieniem. Dzień przed ucieczką ojciec chodził do kantoru aby dali łódkę,

ale bez skutku. więc zapadła decyzja, że rzeczy przewiezie się tratwą a cała rodzina pojdzie pieszo przez tajgę. Siami, tj. tata Alojzy, Staszek i ja zrobiliśmy tratwę. W izbie prawie wszystko pozawijane było w tobołki. Ostatecznie mieliśmy wyruszyć na zajutrz rano, pomimo, że w dniu zrobienia tratwy mogła być godzina 15, ale ze względu, że dzień tutaj był już bardzo krótki, nie można było podjąć ryzyka wyruszenia w drogę. Rano Staszek wyszedł na zewnątrz, aby sprawdzić tratwę, po krótkiej chwili brat wrócił i oznajmił: tratwy nie ma. Okazało się, że ktoś będący na usługach tutejszego NKWD-ty, zepchnął tratwę do wody w nocy. Ktoś z baraku Brzeżany opowiedział nam, że taki przypadek miał miejsce już kilka dni temu. Tak właśnie wszelkimi sposobami starano się przeszkodzić nam w ucieczce. Zanim pozbieraliśmy się i zjedliśmy śniadanie było już za późno, aby coś przedsięwziąć. Na drugi dzień, wcześniej z rana poszliśmy w to samo miejsce, wyposażeni w piły i z nadzieją znalezienia suchej sosny. Tata postanowił, że zrobimy dwie mniejsze tratwy. Mniejszą tratwą łatwiej jest manewrować, można też szybciej znaleźć cieńsze sosny. Szybko zrobiliśmy te tratwy i spuściliśmy je do rzeki. Na tratwach opłynęliśmy do domu, na jednej Staszek na drugiej ja z Alojzym, Bronia z ojcem wróciła przez las. Nasze zmagania były obserwowane przez niektórych sąsiadów. Sąsiad za Ściany, Zaręba też przygotowywał się do wyjazdu, nie kierował się on szlakiem takim jak my. Którędy uciekł, nie wiem. Już po wojnie dowiedzieliśmy się, że był on w Stanach Zjednoczonych. Potem wrócił do kraju z Mikołajczykiem i miał gospodarstwo góńskie w okolicach Głupczyc. P, jakimś czasie musiał znowu uciekać do USA. W naszym kierunku szykował się Kochan, sąsiad z baraku, który bardzo często prześadywał u nas po śmierci swej żony. Wyjechali też Kulszowie,

"Targoszowie, "utnicy, Kołodziej, Janków Paweł z córeczką, Szelast  
"Franciszek z synami i córką, Kiedy i gdzie wyjechali nasi sąsie-  
dzi z Mazurów, a mianowicie "apart, dwie rodziny Szłapów, Matusia-  
kowie, i Polacy z "ańczugowskiego "lucza, o tym nie wiedzieliśmy.  
Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że kierowali się oni na Zimo-  
wą Teję dalej w str. rzeki Uwołga i dalej kawałek na południe,  
a potem na zachód na drugą str. Jenisieju, w okolicy Jarcewa.  
Tam Władek i Franek pracowali w jakimś sowchozie, Marysia wróżyła  
Rosjankom z kart, szczególnie po powołaniu Władka i Franka w 1943r  
do wojska. Hela próbowała szyć na maszynie. Podczas śniadania zapa-  
dła decyzja, że na mniejszej tratwie popłynie nasz Alojzy, na dru-  
giej ja. Staszek będzie szedł brzegiem i nas ubezpieczał, a reszta  
pójdzie pieszo przez tajgę do miejscowości Teja. Przed opuszcze-  
niem baraku odnowiliśmy : pod Twoją obronę. Mielismy ładować nasze  
tobołki na tratwę, gdy jedno z rodzeństwa zapytało "a jak my dosta-  
niemy się na drugi brzeg?". Oczywiście problem istotny, nie było  
łódek, te które stały , były zamknięte na kłódki. Jednak w pewnej  
chwili pojawił się ktoś z Polaków na łódce. Kto to był i jak zo-  
rganizował łódkę, nie wiem. Byliśmy mu bardzo wdzięczni, gdyż pomoc  
przyszła w samą porę. On to przewiózł na drugi brzeg Teji 7 osób  
z rodziny. Dwaj najmłodsi weszli już na swoje tratwy, na których  
przywiązane były tobołki. Ruszyliśmy, Alojzy jako pierwszy, ja za  
nim w odległości kilkudziesięciu metrów. Przechylił czas spływu  
mieliliśmy ze sobą kontakt wzrokowy. W miejscach gdzie woda była  
głęboka, bałem się i do raz, spoglądałem na prawy brzeg. czy jest  
tam Staszek. Gdzieś w połowie drogi do Teji nie dostrzegłem w  
porę głazu, toteż wpłynąłem wprost na ten glaz. Tył tratwy zanu-  
rzył się w wodzie i cała tratwa odwróciła się tyłem do przodu.  
Nie mogłem dać sobie rady z odepchnięciem tratwy od kamienia.

"auważył to Staszek i krzyknął"nie ruszaj się!". Szedł - Wszedł do wody i szedł w moim kierunku z dużą żerznią, szczęściem w tym miejscu woda nie była głęboka. Podeszedł do mojej tratwy i żerdzia zepchnął mnie z tego głazu. Obróciłem tratwę i później płynąłem już bez żadnych problemów. Po jakiś 3 godzinach zauważyłem na brzegu ludzi i jakieś domy. Trzeba było skierować tratwę ku brzegowi. Płynęłam się aby mnie popłynąć dalej. Tak samo postępował Alojzy. Gdy podpłynąłem bliżej, okazało się, że to nasi stoja na brzegu, i czekają na nas. Pomogli oni wciągnąć tratwy na brzeg i podjąć nasze tobołki i skrzynie. Okazało się, że piesi mieli trochę krótszą drogę idąc na przełaj, niż my płynący rzeką, gdyż miała ona duże zakola pomiędzy górami. Tata wyjaśnił, że nie jest to koniec rzeki, tylko tama na niej zbudowana. Przy pomocy tej tamy waławiane było drzewo, cięte i wrzucane przez Polaków. Nasze tratwy szypko spędaliśmy miejscowam Rosjanom, nie wiem za ile. Żołnierzy którzy byli tu przed nami, powiedzieli, abyśmy szli do świetlicy. Okazało się, że była to ta sama świetlica w której byliśmy gdy nas wieźli do Zimowej Łęgi. Jeszcze tego samego dnia tata i Staszek poszli szukać sposobu, jak najrychlejszego wydostania się stąd. Wiedzieliśmy, że każdy dzień zwłoki to strata czasu a co za tym idzie strata sucharów a tym samym możliwości przeżycia i jak najszybciejszego oddalenia się od miejsca w którym byliśmy. W świetlicy było już kilka rodzin tak z naszego baraku, jak i tych o których nic nie wiedzieliśmy. Wrócił tata ze Staszkiem. Powiedzieli się, że stąd jest tylko jedna droga prowadząca do Świeronisiejska i dalej do Grianki. To oznaczało, że będziemy wręcać tą samą drogą - którą przybyliśmy tutaj w 1940r. Mają tu przyjechać ciężarowe samochody i, że jak się dogadamy, to może nas zabiorą. Żadnych środków lokomocji od miejscowych władz nie mogliśmy otrzymać. Polakom, którzy przybyli

tu wcześniej, miejscowy naczelnik powiedział, żeby się brać do roboty, bo władza sowiecka nie będzie karmić takich darmozjadów. W obec takiej perspektywy ojcowie rodzin postanowili, żeby pilnować tych samochodów i kierowców. Wyznaczono dyżury. Dopiero na drugi dzień wieczorem, dyżurujący przyszedł z wiadomością, że samochody stoją i mają jakieś ładunki. Zaraz też nasz Staszek razem z innymi poszedł rozmawiać z szoferami. W świetlicy zrobił się ruch. W ciągu dnia przybyli dalsi zesłańcy. Przyszedł pieszo Kochan ze swoimi dziećmi i Janków z córką. Wszyscy wybierali się w tym samym kierunku. Nie bawem przyszedł Staszek i oznajmił, że dogadał się z szoferem i samochód stoi obok świetlicy. Samochód był bez plandeki i na dodatek miał pełną skrzynię jakiegoś ładunku. Nie było wyboru. Musieliśmy załadować nasze pakunki i położyć na załadowanym wozie a następnie sami tam weszliśmy na to wszystko. Było ciasno, ale jak kto mógł, tak siadał. Chwilę czekaliśmy, aż inne samochody zabrały polskie rodziny. Uszyliśmy ciemną nocą w nieznaną. Zaraz po wyruszeniu wjechaliśmy w głuchą tajgę. Po pewnym czasie nasz samochód zaczął się psuć, jechał wolniej, gasł silnik. W pewnym momencie stanął i szofer powiedział, że musimy tu czekać aż do rana. Zszedłem z wozu i widziałem, że szofer nic przy samochodzie nie robi a siedzi w kabinie. Zapytałem, czy mogę wejść do niego. Aesztę nocy przesiedziałem tam, i było mi dość ciepło. Kiedy zaczęło się przejaśniać nasz mechanik zabrał się do roboty. Teraz było widać, że nasz samochód ma po obydwu str. kabiny coś w rodzaju żelaznych kotłów, pieców, tyle, że długich. Okazało się też, że w dolnej części jednego z tych pieców, przepaliła się jakaś uszczelka. Szofer wymienił ją, otworzył górne pokrywy, dosypał pociętego brzożowego drzewa i pojechaliśmy dalej. Gdy było już widno, zauważyłem, że nie daleko od drogi są

jakieś zabudowania. Prawdopodobnie był to Siewierojanisk. Jazda trwała ok. 5 godzin: droga prowadziła cały czas przez tajgę, była ona o podłożu gliniastym. Jechaliśmy przez wyż środkowo-syberyjski. Na szczęście było sucho. Do Uryjanki dojechaliśmy po południu. Nie mieliśmy kłopotu ze znalezieniem naszych znajomych, którzy dotarli tu dawniej. Kierowca zatrzymał samochód na brzegu dużej rzeki, gdzie przycumowane były łodzie. Mogły mieć jakieś 10-12m długości i ze 3m szerokości. Na jednej z łodzi był taki niby szylas, tam ulokowane zostały rodziny przybyłe przed nami. Zmieściliśmy się też i my. Było ciasno, ale ciepło. Nasza mama zaczęła narzekać, że boli ją głowa i śle się, czuje. Na pewno przeziębila się na tym samochodzie. Na brzegu rzeki paliło się ognisko, zagotowaliśmy wodę i teraz każdy z nas dostał swego suchara. Za parę rubli, nasz szofer pozwolił wziąć z samochodu trochę ziemniaków. Tu w Brance, Tosia z Zosią znalazły miejsce gdzie można było kupić marchew. Kupiliśmy parę jej kilogramów. W oczekiwaniu na dalszą drogę mogliśmy chodzić po okolicy. Dowiedzieliśmy się, że rzeka którą będziemy teraz płynąć to Balszaj Pit. Na drugi dzień rano przyjechali następni Polacy tych nie znyliśmy i nie wiem skąd przybyli. Ulokowa i się oni na innej łodzi i oczekiwali tak jak my. Było już popołudnie, kiedy obsługa łodzi wprowadziła konie i oznajmiła, że zaraz będziemy ruszać. Dziwne dla nas było to, że wybierają się w drogę na noc. Nie wiedzieliśmy, że tymi łodziami będziemy płynąć kilka dni, bez przerwy na nocleg. Źrzęgi były dość urwiste, skalne, potem przechodziły w szerokie i płaskie. Przez cały czas widać było po obydwu str. las, bezkresne obszary tajgi. Zaraz pierwszej nocy obsługa łodzi upiła się i nie panowała nad niczym. Łodzie były połączone, jedna obok drugiej, płynęły w poprzek, czasami



tyłem do przodu. Zorientował się w tej całej sytuacji płynący z nami Staszek Kłysz, to on stanął przy sterze i przez całą noc prowadził łódzie. W czasie tego spływu, żywiliśmy się sucharami i marchwią, żadnego ciepłego posiłku, a nawet wrzątku nie było. Problem był też z załatwianiem potrzeb fizjologicznych, mężczyźni nie mieli kłopotów z oddaniem moczu, natomiast miały je kobiety. Musiały siadać na krawędzi łodzi, było to nie takie proste, często jedna drugą musiały przetrzymywać aby nie wypaść za burtę. Jeśli ktoś naprawdę nie mógł się w ten sposób załatwić, był przez kogoś odwożony na brzeg. Oku yła do tego taka mała łódka przyczepiona do naszej większej. Tak było z naszą mamą. Pit miał szerokość w przybliżeniu równą szerokości Wisły pod Warszawą. Pewnego wieczoru, obsługujący Rosjanin stanął przy wejściu do szalasu w którym siedzieliśmy i z kartką w ręku, udając urzędnika dość głośno powiedział: "dawajcie rozczytajemia". "rozumieliśmy, że trzeba płacić. Nie pamiętam ile, ale liczył od osoby. Wszyscy płacili. Gdy na pytanie czy wszyscy zapłacili, jeden z Polaków powiedział, że nie zapłacił Kołodziej. Dlaczego to zrobił, nie wiem. Przecież te pieniądze Rosjanina przeznaczyli na samogon. Można było się domysleć, że nie bawem dopłyniemy do jakiegoś celu. Następnego dnia rano stanęliśmy przy brzegu. Wyszedłem ale coś mi nie pasowało, po chwili skonstatowałem, że nie ma gór. Wróciłem do szalasu i powiedziałem "tato nie ma gór!..". Potem zorientowaliśmy się, gdzie jesteśmy. Pomogli nam w tym robotnicy obsługujący Łódź. Trafiliśmy do miejscowości Uśnit. W tym miejscu Balszój Pit wpada do Unisieja. Tutaj jak okiem sięgnąć była równina. Wyładowaliśmy nasze rzeczy na brzeg, w pobliżu nie było zabudowań. Popsuła się pogoda, zaczął siąpić deszcz, było chłodno. Trzeba było pomyśleć co dalej robić. Obok nas leżała odwrócona do góry dnem, okazałych rozmiarów Łódź.

Łodzie z małymi dziećmi tam się schroniły. Znalazło się też i miejsce dla naszej mamy i kilku innych osób. Starsi rozpalili ognisko. Przestało padać i paliło się dobrze. Mieliśmy ziemniaki, zaczęliśmy je piec. Okazało się, że z podobnej sytuacji korzystali i inni. Niektórzy poszli do Rosjan w celu zdobycia informacji, jak stąd jechać na północ w kierunku Krasnojarska. Okazało się, że w odległości ok. 1 km znajdują się jakieś zabudowania i naczelnik, byli tu też inni Polacy którzy przyjechali przed nami. Dowiedzieliśmy się, że ma przypłynąć ostatni statek, który jest w drodze z Igarki do Krasnojarska i ma się tutaj zatrzymać. Niestety nie dowiedzieliśmy się kiedy tutaj przypłynie. Nadchodziła noc, trzeba było szukać schronienia, zwłaszcza, że niektórzy mieli małe dzieci. Trochę ludzi schowało się w stołówce, kilka rodzin koczowało pod łodzią, cały czas na zmianę ktoś tutaj czuwał. W dzień siedzieliśmy nad brzegiem Fitu, pod łódkę. W ten sposób minęły trzy dni. Byliśmy okropnie zziębnięci i ratowaliśmy się tylko wrzątkiem. W obawie aby parochodnik nie odpłynął bez nas, bardzo wiele ludzi nie ruszało się stąd. Dopiero trzeciego dnia w południe przypłynął z północy statek, dość okazałych rozmiarów. Okazało się jednak, że była to tylko barka towarowa. Na przystani zebrał się tłum ludzi. Było nas ze 150 osób. Barka nic nie rozładowywała i po chwili położona została kładka po której ludzie mieli wchodzić. "szyscy do tej barki weszli, bez problemu. "amieszanie zrobiło się na wąskiej kładce, ludzie przepychali się, jeden drugiego odpychał, przeklinał i to nawet po rosyjsku. W pewnym momencie jakaś kobieta wpadła ze swoim tobozkiem do Jenisieju. Rzecz działa się blisko brzegu i nie doszło do tragedii. Nie wiem od kogo, ale dostaliśmy informację, że to nie o ten statek chodzi, że to nie jest pasażerski statek.

Wszyscy byli zajęci wsiadaniem na barkę, lub przyglądali się temu. W tym czasie podpłynął pasażerski statek i zacumował w dość znacznej odległości od barki. Ci co stali na brzegu zabrali swoje tobołki i skierowali się w str. statku. "ostatni błąd pierwszymi"-powiedział tata i spokojnie poszliśmy na statek. Staliśmy godzinę aż kapitan zorientował się z kim ma do czynienia i o co chodzi. Dopiero później spuszczonego został trap i weszliśmy na pokład. Statek był duży, nadbudowę miał dwu piętrową pomalowaną na biało były kabiny pasażerskie, na dziobie, wysoka na 1,5m poręcz dookoła. Nie wpuszczono nas do kabin, lecz kazano iść w dół pod pokład. Statek miał parowy silnik, nie było śruby, lecz dwa duże koła napędowe po bokach. Pod pokładem było dość ciasno, ale każdy siadł na swoich tobołkach. Naszym pomieszczeniem sąsiedowała kotłownia i dużo ludzi dostało stąd kipiatak. Na pokład wybrało się wiele osób, w tym także nasz statek. Gdy przyszedł oznajmił, że jest tam kuchnia gdzie można kupić herbatę. zaraz też poszły tam nasze dziewczyny i przyniosły prawdziwą herbatę i co nas ucieszyło kaszę jaglaną. Od pokładem były małe okienka i trochę dziennego światła padało do środka. W pewnym czasie nasz parachód, ruszył w drogę na południe. Robiło się ciemno i ludzie kładli się spać. Spaliśmy w ubraniach, siedząc na swoich tobołkach. Na schodach prowadzących do ubikacji, przez cały czas było pełno ludzi. Załoga statku ogłosiła, żeby kupować bilety, pamiętam, że były one drogie, co uszczupliło i tak mizerne nasze zapasy gotówki, Nikt nie próbował nie kupować biletów. W tym dniu trochę ludzi wyszło na pokład aby rozprostować kości i popatrzeć na mijane tereny. W pewnym momencie obsługa statku kazała wszystkim zejść pod pokład, nikt nie wiedział o co chodzi, przecież nie przeszkadzaliśmy. Wyszedłem na pokład i zobaczyłem, że nasz statek ciągnie na linie inny statek, dużo mniejszy. Na po-

kładzie stał w marynarskim mundurze z jakimiś naszywkami  
człowiek, który przez tuę porozumiewał się z kimś ze statku-  
holownika. Z dna rzeki wynurzały się ogromne, kamienne głazy.  
Pierwszy postój statku miał miejsce w Jenisiejsku<sup>tu</sup>, tj. jeszcze  
przed minieciem ujścia Angary. Obsługa statku kazała wyjść na  
pokład wszystkim mężczyznom. Powiediano im, że mają iść z obsłu-  
gą do pobliskiego lasu po drzewo, bo jeśli drzewa nie będzie  
to parachod nie paje diet. Przyniesiono spore ilości drzewa.  
W stołówce statku można było teraz dostać tylko herbatę i to  
nie słodką. Od tej pory nie zatrzymywaliśmy się już. Musielismy  
się żywić naszymi sucharami i to tylko raz dziennie. Pod ko-  
niec 3-4 dnia dotarliśmy do jakiegoś miasta. Zapytany marynarz  
powiedział "da, eta Krasnajar'sk". Wszyscy zaczęli związywać swoje  
tobołki. Chcieliśmy z tego statku jak najszybciej wysiąść. Nie  
mieliśmy co jeść, to znowu dawały znać o sobie wszy. Zauważyłem,  
że nasza Zosia pomaga ubierać obcą, małą dziewczynkę. Później  
dowiedziałem się, że dziewczynka ma na imię Wisia i, że jej mama  
zmarła na Zimowej Teji. Ze statku zeszliśmy do portowego baraku.  
Były tu ławki i parę stołów, piecyk żelazny umożliwiał ugotowanie  
wody. Nie mieliśmy rezerw żywnościowych. Suchary się skończyły.  
Noc spędziliśmy na podłodze w baraku. Tata, Staszek i kilku innych  
mężczyzn nie spali, długo rozmawiali. Rano dowiedzieliśmy się,  
co uradzili. Otóż, postanowili, że delegacja mężczyzn uda się  
do titejszego NKWD aby uzyskać jakieś środki na podróż kole-  
ją na zachód. potrzebna nam była natychmiastowa pomoc żywnościo-  
wa, pieniądze lub bezpłatny przejazd koleją. Minęło kilka godzin,  
a delegacja nie wracała. Pliscy zaczęli się nie pokoić, mówili:  
a może ich aresztowano?. Około południa przyszedł nasz Staszek  
z innymi Polakami. Okazało się, że reszta coś jeszcze załatwia,

a nni przyszli po worek na chleb. Ta wiadomość była niemniej ważna od tej pierwszej, gdyż drugi dzień nie mieliśmy co jeść. Wróciła reszta delegacji. Z rozmowy zapamiętałem, że byli w miejscowym sovietcie, skąd skierowani zostali do władz krajowych, stąd trafili do NKWD. Przyjęci zostali przez jakiegoś naczelnika. Gdy usłyszał o co chodzi, kazał czekać na korytarzu. Po jakimś czasie powiedział, że na zachód nie pojedziemy, gdyż tam jest wojna a jeśli będziemy się upierać, to nie dostaniemy chleba. Trzeba było przyjąć warunki jakie postawili. Propozycja brzmiała, aby jechać na wschód do jakiegoś miasta lub kołchozu. Polacy podzieleni zostali na kilka grup, nasza - dość liczna przeznaczona została do miejscowości Ujar, stacja kolejowa Krukwiennaja. Dokąd skierowano pozostałych, nie wiem. Do Ujaru przeznaczone były następujące rodziny: Łołodziej, Targosz, Pawelski, Janków, Wiencław, Kochan, Kłasz, Augustyniak i inni. Przyniesiony chleb, został podzielony według ilości osób w rodzinie. Rano piśczo poszliśmy na stację kolejową, tutaj trzeba było czekać, gdyż nie od razu pociąg jechał na wschód. Wreszcie wsiedliśmy i dojechaliśmy do stacji: Krukwiennaja. Wsiedliśmy i zebraliśmy się w budynku stacyjnym. Co dalej? Dowiedzieliśmy się, że mamy się zgłosić w Pirpicznym Zawodzie tj. w cegielni. Starsi poszli tego poszukać. Po dość długim czasie, wrócili z wozem zaprzęgniętym w konia. Był z nimi Rosjanin. On miał nas zakwaterować w Ujarze. Załadowaliśmy nasze tobołki na wóz i dotarliśmy do miasta rejonowego - Ujaru. Pierwsze spostrzeżenie, że nie widzieliśmy po drodze domów murowanych, wszystkie mijane były małe i drewniane. Atrzymaliśmy się na sporym podwórzu gdzie stały trzy, dość duże bałaki. Tutaj mieliśmy teraz mieszkać. Rosjanin przydzielił kwatery poszczególnym rodzinom, my dostaliśmy całą kwaterę tylko dla siebie, był tu piec i kuchnia

z płytą. Całość miała 16m<sup>2</sup>. Z urządzeń było światło elektryczne, ubikacja na podwórku, studnia w odległości 100m. Gdy weszliśmy do naszego "nowego mieszkania", nie było się gdzie ruszyć. Mamie pościelono na podłodze, bo źle się czuła. Oprócz ścian nie było to nic. W okolicy w odległości kilkuset metrów biegły tory kolejowe. Następnego dnia, tata, Staszek, Józia, Zosia, poszli do pierspicznego zawodu-cegielni, gdzie zostali przyjęci do pracy. Podobnie postąpili inni Polacy. Wszyscy otrzymali kartki na chleb, nawet ci co nie pracowali. Dotyczyło to też mnie, Łosi, mamy i Alojzego. Tego dnia udało się załatwić jeszcze kilka spraw: ojciec załatwił parę desek i zrobił pryczę dla mamy, przydzielono nam węgiel i pożyczkę abyśmy mogli kupić chleb na kartki. Te sprawy były równoważne z przeżyciem. Kupiliśmy chleb, Staszek przywiózł węgiel, zagotowaliśmy wodę. Kartki przewidywały, że każdy pracujący otrzyma 600gr chleba dziennie, nie pracujący 300-400gr. Chleb był pieczony w foremkach, często z dużym zakalcem. Było to mało, gdyż nie mieliśmy ani mąki, ziemniaków. Cierpielismy głód. Pod tym względem nie nastąpiła żadna zmiana. Do plusów można zaliczyć to, że nie było tu pluskiew i karaluchów no i to, że byliśmy blisko kolei, a nie na odludziu. Wszyscy oprócz taty, pracowali przy produkcji cegły, jak mówili nam Rosjanie, wyroby z tej cegielni służyły do wyrobu pieców do wytopu żelaza. Staszek podawał glinę do miejsca, gdzie Rosjanie już ręcznie wyrabiali różne cegły. Zosia pracowała przy mieszaniu gliny, Józia i Bronia przy wywózce cegieł z pieców, tata, który miał teraz 60lat, przydzielano do pracy w warsztacie, gdzie naprawiano różne urządzenia. Pracując w charakterze cieśli, przebywał na zimnie. Trzeba było też pracować przy załadunku ciężkich pał drzewa. Często przychodził do baraku kompletnie wyczerpany, przemarznięty i

i głodny. Staszek, Józia i Bronia pracowali na zmiany. Miało to te dobre strony, że kiedy oni byli w pracy, było luzniej i można było swobodnie leżeć. Z opowiadania Staszka wiem, że jego praca polegała na noszeniu ciężkich, glinianych brzoł na odległość 20-30m do dość wysokich stołów, na których wyrabiano różnej wielkości cegły. Po kilku godzinach takiego noszenia był kompletnie wyczerpany. Wszystko wykonywać trzeba było ręcznie, nosić glinę opierając ją na własnym brzuchu. Nie było innego wyjścia, trzeba było tu pracować, zwłaszcza, że nie zaliśmy Ujaru i nie wiedzieliśmy co tu innego można robić. Po kilku miesiącach, coraz częściej zaczął wspominać o zmianie pracy lub wyjeździe stąd. Nasze dziewczyny wnosiły cegły z pieca i układały ją na placu przed cegielnią. Była to wyjątkowa, katorżnicza praca nawet dla mężczyzn. Musiały z gorącego pieca, gdzie panowała temperatura ok 40 stopni, wyciągać gorące cegły, załadować na taczki i wywieźć na zewnątrz, gdzie w zimie tem. wynosiła -20-40 stopni. Były wyczerpane głodem i olbrzymią różnicą temperatur. Nie każdy organizm mógł takie warunki wytrzymać, toteż po kilku miesiącach Bronia zachorowała. Nie była w stanie wstać z podłogi i iść do roboty. W naszej izbie było teraz dwoje chorych ludzi. Z chwilą kiedy Bronia przestała pracować, otrzymywała zmniejszoną porcję chleba, tak jak nie pracujący. Dowiedzieliśmy się, że jest tutaj restauracja, gdzie można kupić zupę a nawet drugie danie. Aby tam coś kupić potrzebne były ruble, mimo, że w rodzinie pracowało 5 osób, po kupieniu chleba nie wiele zostawało. Nigdy nie kupowaliśmy czegoś z ubrań lub innych rzeczy, nie było zresztą ich w sprzedaży. Wałe zarobione pieniądze szły na wyżywienie. Coś z rodziny chodził do restauracji z naczyniem, zamawiał zupę, przelewał do tego naczynia i przynosił do domu. Na wynos naje sprzedawali.

Dlatego trzeba to było robić w taki sposób. Prócz zupy, czasem można było zamówić wątróbkę z ziemniakami. 4 takiej okazji mieliśmy w domu święto, każdy dostał swoją porcję, zwłaszcza gdy do restauracji poszły 2 osoby. W domu wszystko było wrzucane do wrzątku, i zupy starczało wtedy dla wszystkich. Smaku smażonej cebuli nie znaliśmy od roku a zapach smażonej wątróbki przyprawiał nas o mdłości. Takie chwile były jednak wyjątkiem, twarda rzeczywistość powracała bardzo szybko. Tą rzeczywistością był głód, na kartki oprócz chleba nie dostawaliśmy nic. Raz jed n można było kupić na wagę trochę zapalek, codziennie ogień rozpalaliśmy takim iskrownikiem, był to kamień i kawałek metalu. Nawet z solą mieliśmy kłopoty i ~~nie~~ były trudności z jej nabyciem. Zdobywanie należy rozumieć dosłownie - trzeba było ukraść. Bronia chorowała, nie było mowy aby poszła do pracy. W tym wypadku do pracy poszła Tosia. Ustaleliśmy, że jako młoda dziewczyna dostanie lepszą pracę, ale nic z tego, przydzielono ją do tej samej pracy jaką miała Bronia. Przychodziła z pracy z płaczem, bardzo wyczerpana. Po kilku miesięcznej pracy, Polacy zaczęli rozglądać się po Uralu za inną pracę. W tym małym miasteczku nie było dużo zakładów, mieszkańców niewiele ok. 2000. Głód doskwierał wszystkim, nie tylko Polakom. Z tym głodem przybawało też i chorób. Wilknaście mężczyzn i kobiet zwolniło się z cegielni i znalazło zatrudnienie w "miasnnej kombinacji". Była to poprostu rzeźnia. Wilku Polaków pracowało przy budowach, inni przy koniach jako ~~woźnicy~~. Do pracy przy koniach dostali się min. Wojtek Augustyniak, Paweł Janków, Janek i Staszek Kłysz, i Antek Augustyniak. Nie wiem dlaczego nikt z naszej rodziny nie zmienił wtedy pracy i ~~męczył~~ się w tej cegielni. Miało to tę jedną dobrą stronę, że dostawaliśmy przydział węgla. Oprócz cegielni, rzeźni były to też miejsca pracy na stacji kolejowej.



Były też urzędy, oczywiście nie dostępne dla Polaków. Był tu też bank no i poczta. Miasto zbudowane z drzewa, kilka ulic biegnących na zachód poprzecinane mniejszymi uliczkami umożliwiające dojście do każdej z nich. Na tzw. pierwszej ulicy gdzie były urzędy z drzewa i desek, drogi nie były niczym wykładane, poprostu ubite. W 1943r wybudowano tutaj wąziutki tor kolejowy łączący kopalnię z cegielnią. Małe wagoniki ciągnięte były przez małą lokomotywę, przewoziły glinę do dalszej obróbki. Nasz Staszek odszedł z tej cegielni i pracował na kolei, gdzie pracował przy załadunku węgla na parowozy. Nie była to praca lekka, ale lżejsza od tej w cegielni. Dodatkowym plusem tej pracy było to, że miał większy przydział węgla. Tutajsza rzeźnia oprócz samej rzeźni miała jeszcze dział wędliniarski, transportu, budowlany i pomocnicze gospodarstwo odległe ok. 7km od Ujaru. Były to działki nie wielkie, do 25 osób. Bronia była ciężko chora, miejscowy lekarz stwierdził gruźlicę i tyfus. Na drugi dzień po wizycie, przyjechała furmanka i jakiś Rosjanin kazał się jej ubierać i powiedział, że zabiera ją do miejscowego szpitala. Nie chciała iść, ale coż było robić, nie było żadnych możliwości zdobycia lekarstwa, tata i mama przeknali ją o potrzebie leczenia. Szpital, był to drewniany budynek główny i dwa mniejsze baraki. Umieszczono ją na oddziale zakaźnym i nie wolno jej było odwiedzać. Odwiedzaliśmy ją tylko przez zamknięte okno. Byłem tam i ja. Widziałem ją na piętrowym łóżku. Nadchodziła wiosna w tym czasie zaczął odwiedzać nas Janków Paweł. Pewnego dnia Zosia powiedziała, że Paweł chce się z nią ożenić. Po kilku dniach Zosia spakowała swoje rzeczy i przeniosła je do sąsiedniego baraku gdzie mieszkał Paweł. W miejscowym urzędzie zarejestrowali się jako małżeństwo. Zarejestrowanie to miało później

ważne znaczenie ~~prasy~~ w czasie kiedy Paweł poszedł do wojska . Pewnego dnia kiedy ktoś z domowników poszedł odwiedzić Bronię, został poinformowany, że nasza siostra zmarła. Bronia miała wtedy 19 lat. Ta śmierć nas przygnębiła, zwłaszcza, że w domu na pryczy leżała chora mama. Była lekarka, zbadła mamę i orzekła: gruźlica. Nie była to taka gruźlica jak u Broni, mama już dłużej chorowała. Z recepty pisanej na gazecie, dostaliśmy płyn, którym każdego dnia nacieraliśmy naszą mamę. Nie zabrali jej do szpitala, gdyż twierdzili, że nie ma miejsca. Tata w cegielni zrobił trumnę i pochowaliśmy Bronię na miejscowym cmentarzu. Bronia odeszła na zawsze, Łosia odeszła aby założyć rodzinę, Stasze coraz częściej przebywał u Targoszów, gdzie obiektem jego zainteresowań była Marysia. Pewnego dnia marca lub kwietnia 1942r dowiedzieliśmy się, że w Świetlicy odbędzie się zebranie Polaków. Strzępy wiadomości o działalności W. Sikorskiego dochodziły tu do nas. W Świetlicy za stołem prezydialnym siedział dyrektor cegielni naczelnik NKWD, sekretarz partii, i ktoś jak się okazało mówił po polsku. To on jak się okazało, prosił miejscowe władze o przyjęcie z pomocą Polakom. Miała ona dotyczyć przydziału mieszkań, opieki lekarskiej, żywnościowej szczególnie dla dzieci. Z wypowiedzi wynikało, że jest on przedstawicielem delegatury polskiej z Krasnojarska. Delegatura była placówką ambasady polskiej, gdzie ambasadorem był prof. Kot. Byłem na tym zebraniu i pamiętam, jak zesłańcy patrzyli jeden na drugiego zdziwieni tym co słyszą. Oto przedstawiciele sowietcy słuchają przedstawicieli polskich, i to gdzie w głębi Syberii tysiące km. od kraju. Z ogromną nadzieją Polacy wchłaniali to co przedstawiciel miał im do powiedzenia. Wielu zdawało się mówić: oto Polska idzie do nas, gen. Sikorski się nami zajął, teraz już nie zginiemy, już Sowietci nie

będą mogli nas zlikwidować. Przemawiał dyrektor cegielni, wyraził swoją dezaprobatę dla Polaków, dla których on pełen łaskowości przyjął do pracy, dał im mieszkania a oni, szczególnie mężczyźni mu uciekali, on ma kłopoty z planem. Potem nastąpiło coś, czego zebrani nie oczekiwali. Delegat zaproponował aby z pośród zebranych wybrać męża zaufania, który za zadanie będzie miał zajmowanie się sprawami mieszkańców, komunikowania się z nim, w sprawie pomocy materialnej. Ta pomoc już jest organizowana przez władze polskie, twierdził, że ambasada polska jest w Kułbyszowie. Nikt z sali nie zabierał głosu, myślę, że ludzie nie mogli tak szybko uwierzyć, że to co słyszą dzieje się w rzeczywistości, że to nie sen. Zachęceni przez delegata, ktoś podał nazwisko mojego ojca. Ludzie znali moją tatę bądź z Zimowej Teji lub z drogi do Krasnojarska. Odbyło się głosowanie i nasz tata - Józef Gerlach wybrany został mężem zaufania na Ujacki Rejon. Pod koniec zebrania delegat raz jeszcze apelował do miejscowych władz o udzielenie nam pomocy. Po nim głos zabrał sekretarz partii Czernienko, no i zebranie zostało zakończone. Przyszliśmy do domu podzieliśmy się wiadomościami z domownikami. Zapamiętałam dwie reakcje: mama nic nie powiedziała, miała tylko łzy w oczach, natomiast jedna z sióstr zapytała, czy dostaniemy coś do jedzenia, chodziło o obiecane przez delegata dary. Ojciec-mąż zaufania na najbliższą przyszłość miał następujące zadania: sporządzić dokładny spis Polaków mieszkających w Ujarze i okolicy, zrobić rozeznanie co do warunków mieszkaniowych, podać ilość małych dzieci, liczbę chorych, każdy powiadamiał o tym kogo znał, każdy rodzina robiła spis swoich najbliższych na kartce. Porządkowałam te dane i robiłam alfabetyczny spis. Z upływem czasu wszystkie papierkowe roboty należała do mnie. Byłam młody, nie zdawałam sobie

sprawy z tego co robię. Jednak gdy pisałem podanie do NKWD, lub telegram do ambasady, wiedziałem, że jest to coś ważnego. Kiedy wykaz zesłańców był gotowy (było nas to ok. 150 osób), tata pojechał do Krasnojarska do ambasady Rzeczypospolitej Polski. Pojechał ojciec i Jan Pawelski. Tata powrócił do Ujaru i to nie z pustymi rękami, obaj przywiezli okazałe paczki. Wszystko to zostało złożone u Pawelskich. Trzeba było powołać kilka osób do podziaku. Wysłałem, że dostali jakieś wytyczne, gdyż przywiezione sukienki, swetry, koszule oraz trochę cukru, skondensowanego mleka, grochówka w paczkach, przydatne były przede wszystkim tym rodzinom, które miały małe i większe dzieci. Myśmy dostali mleko i trochę grochówki. Tego dnia było u nas wielkie święto. Była pachnąca grochówka i kapiatok z mlekiem. Poraz pierwszy od długiego czasu poszliśmy spać najedzeni. Na kartonie z mlekiem i grochówką był napis: USA UNRA. Były też inne napisy, których nie rozumieliśmy. Wiedzieliśmy, że dobrzy ludzie muszą żyć w Ameryce, że przysłali aż tu na koniec świata, dary. Gdy wszystko zostało rozdane, wysłano listy z potwierdzeniem odbioru przez poszczególne rodziny, do Krasnojarska. Od początku wykazy te były robione w dwóch wykonaniach, jeden przekazywany był do Krasnojarska, drugi pozostawał u nas. Niejednokrotnie wysyłane były delegatury przez ojca do Krasnojarska, za każdym razem przyważona była żywność i odzież, w dość obfitych ilościach. Coraz nowi zesłańcy zgłaszali się do nas. Przebywali oni gdzieś w okolicach Ujaru i dopiero teraz dowiedzieli się, że w Ujarze jest mały zaufania. Zgłosił się też Aleksander Romanowski ze swoją rodziną. Przybył on tutaj ze Świerdłowska, miał tu w Ujarze krewną, która ściągnęła go tutaj. Romanowski był przed wojną, przed wywózką maszynistą kolejowym.

Tutaj pracował jako maszynista w miejscowym młynie. Teraz i on był członkiem zespołu, który pracował i rozdawał dary. Miał on syna Jurka, który chodził w Ujarze do 8 klasy. W 1944r poszedł do radzieckiego wojska i miał zostać "wajen technikom". Otrzymywaliśmy coraz więcej odzieży, poszerzył się asortyment żywności, dostawaliśmy też konserwy mięsne, niby jajeczne, smalec, mąkę. Tata zwolnił się z pracy, miał zajęcia z bieżącymi sprawami, darami, przybywało spraw dotyczących poszczególnych osób. Ludzie przychodzili z żalami, że mało czegoś tam dostali, trzeba było słuchać i tłumaczyć, często szukałem wykazów co kto dostał, było i tak, że niektórzy próbowali mówić nie prawdę, wtedy wyciągało się egzemplarz z potwierdzeniem odbioru. Musiał ojciec też chodzić do miejscowych władz z prośbami, interwencjami dotyczącymi zesłańców. Chodziło min. o zarobki, że za ciężka praca, że dziecko chore, że nie ma z czego zrobić trumny. Nie wiem jak tata radził sobie w tych urzędach, bo słabo mówił po rosyjsku. Z rozmów z nim wiem, że wiele spraw udało mu się załatwić. Gorzej było gdy chodziło o kradzieże, tutaj nie udawało się nic wskórać. Był okres kiedy przez długi czas nie było soli. Jeden z zesłańców pracował w zapatrzeniu, woził chleb, miał dostęp do soli. Wziął trochę tej soli, ok. 3kg, aby zanieść do domu. Po drodze przekazał ją swojej żonie, ktoś to zauważył i doniósł do milicji. Antoni Parsz, bo tak się on nazywał, został skazany za ten czyn na trzy lata więzienia. Jego żona przychodziła do ojca aby go ratować. Wiem, że ojciec chodził do sądu, do NKWD, ale nic nie mógł załatwić. Parszczowa z dwojgiem czy z trojgiem dzieci została sama bez opieki, toteż przydziały dla tej rodziny były większe. Czytałem w znanych mi opracowaniach, wydawanych na zachodzie, dotyczących zesłańców, że były też zapomogi pieniężne. Z całą

odpowiedzialnością stwierdzam, że my tutaj nie dostaliśmy ani jednego rubla. To co otrzymywaliśmy było ogromną pomocą, w wielu przypadkach decydowała o przeżyciu. Jest rzeczą zupełnie pewną, że śmiertelność wśród zesłańców bez tej pomocy byłaby jeszcze większa, nie było już rodziny która nie dostałaby trochę odzieży i żywności. Ze zrozumiałych względów nie było tego dużo, ale przy naszych racjach było to zauważalne. Nasze wyżywienie przez jakiś czas zostało urozmaicone i wzbogacone, wiele osób pozbyło się kurzej ślepoty. Tosia nie mogła więcej pracować w cegielni, była to praca ponad jej siły, pewnego dnia nie poszła tam więcej. Kilka dni potem dostała wezwanie do sądu. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że to o nią chodzi. O wyznaczonej godzinie siostra poszła do sądu, minęło parę godzin a ona nie wracała, Nie przyszła na noc. Zaraz na drugi dzień tata poszedł do sądu i dowiedział się, że za nieobecność w pracy została skazana na 4 miesiące więzienia, że od razu na rozprawie została aresztowana i odwieziona do więzienia do Krasnojarska. Tata przyszedł do bataku załamany, mama płakała, ja nie rozumiałem o co chodzi. Pytaliśmy : za co?. Już po powrocie do Polski, siostra tak relacjonowała swoje przeżycia; Zaraz po przyjeździe do sądu, wezwano ją do sali. Przy stole siedziała kobieta. Sędzina pytała "pociemu nie była na robotie?", powiedziałam, nieświadoma co mnie czeka, że byłam chora. Zrozumiałam jak Sędzina powiedziała: "tam budziesz zdarowa". Tu był koniec rozprawy, po chwili odczytano mi wyrok, 4 miesiące więzienia. Nazano mi czekać. Po chwili przyszedł milicjant i kazał iść ze sobą, prosiłam, aby pójść do domu powiedzieć co się stało, nic nie pomogło, zabrał mnie na posterunek milicji. W tym samym dniu zostałam odwieziona do Krasnojarska, gdzie wsadzono mnie do więzienia. Był już wieczór, kazali

mi wejść do sali. Nie było tam nikogo prócz mnie, Drzwi się zamknęły i pochwili zgasło światło. Po ciemku doszłam do ściany i usiadłam na podłodze, bardzo się bałam, całą noc przepłakałam trzęsłam się z zimna i strachu. Rano otworzyły się drzwi i kazano mi wychodzić. Zaprowadzili mnie do celi, gdzie było dużo starszych ode mnie kobiet. Były to piętrowe, drewniane łóżka, któraś z więźniarek pokazała mi wolne. "aczęłam głośno płakać. Nie mogłam się opanować, współwięźniarki próbowały mnie uspokoić, mówiły "nie płacz, wsio prajdiot". Dopiero w porze obiadowej kiedy dostałam zupę, trochę się uspokoiłam, byłam głodna. W porze kolacji tak jak inne więźniarki dostałam porcję chleba i czarną nie słodzoną kawę. "ano chleba nie dawali, tylko samą kawę. Zostawiałam połowę chleba z kolacji na rano. Kawałek, zawiniątko wsadziłam pod głowę. "dy się rano obudziłam, chleba nie było. Na następną noc schowałam znowu, wydawało mi się, że lepiej. "ano znowu nie było, Już byłam pewna, że one mi kradną. Od tej pory już nigdy nie zostawiałam chleba, zjadałam na kolację. Do pracy nie chodziłam. Dzień za dniem mijał na płaczu, tęsknocie i lęku. Po 2 tygodniach śniło mi się, że jestem w naszej izbie gdzie jest mama, opowiedziałam o tym snie Rosjance. Gdy skończyłam opowiadać ona powiedziała "ty pojedziesz damoj". Ucieszyłam się, poczym przyszła refleksja, skąd ona może wiedzieć. W czasie gdy Tosia siedziała w więzieniu ojciec kilkakrotnie chodził do sądu, NKWD chciał uzyskać widzenie z córką. Dostał się w końcu do najważniejszego NKWD-ty w Ujarze. Widzenia nie załatwił, ale dostał coś więcej. Ten NKWD-ta pouczył tatę, co i jak ma robić aby Tosia wróciła do domu, dał ojcu karteczkę, którą po wykorzystaniu kazał spalić. Tata przyniósł ją do domu i kazał mi przeczytać co tam jest napisane. Było napisane: narodnyj kamisariat wnutronnyh

dział". To był adres instytucji do których miał napisać o zwolnienia córki. Tata podyktował mi treść podania, które uzasadnione było znajomością prawa sowieckiego i chorobą. Przetłumaczyłem na rosyjski, kartkę od NKWD - ty tata spalił, a podanie zaniósł pod wskazany adres. Ujciec zdziwił się, że nie kazano pisać podania do sądu tylko do NKWD. Oto dalszy bieg sprawy zapamiętany przez Tosię: Na trzeci tydzień zostałam, zaraz po śniadaniu wezwana zwana z wieszczkami. Sąsiadka z pryczy powiedziała: ot widzisz ja ciebia gawariła, pójdiesz domoj: .4aprowadzona zostałam do kancelarii. Wyszedł umundurowany milicjant i wyprowadził mnie na zewnątrz za bramę więzienną. Wielkie było moje zdziwienie, gdy kazał mi wsiadać do osobowego samochodu, nie wierzyłam własnym oczom: ja polska więźniarka jadę NKWD - skim samochodem, myślałam że gdyby chcieli mi coś złego zrobić, to nikt przysyłałiby samochodu. Stanęliśmy przed okazałym budynkiem, konwojent kazał mi iść ze sobą. 4aprowadził mnie do jakiegoś pokoju. Czekałam. Po godzinie ten sam konwojent przyniósł mi bilet na kolej i jakiś dokument. Zawiózł mnie na stację kolejową. Tam powiedział do mnie: ty swobodna, wracaj damoj.

Tosia odpoczęła po tej przygodzie, trzeba było pomyśleć o pracy, aby dostać kartkę na chleb. Tata wystarał się jaje o pracę w gospodarstwie rolnym. Oddalone ono było od Ujaru ok. 7 km. Tutaj wydawała robotnikom mleko i była przez jakiś czas magazynierką. Po pewnym czasie swój przydział mleka zaczęła przynosić chorej mamie. W 1942r wiosną, śniegu już nie było, dotarła do nas wiadomość, że organizuje się polskie wojsko. Nie przypominam sobie, aby była mowa o konkretnej miejscowości. Szybko ucichło i nikt stąd nie wyjechał, z wyjątkiem jednej rodziny. Otóż pewnego dnia Kołodziej wyjechał, nie wiadomo dokąd, gdzieś na południe. Od tamtej pory, nie mieliśmy o nich żadnych wiadomo--



ności. Wczesnym latem 1942r otrzymaliśmy listowną wiadomość, że delegat z Krasnojarska przyjedzie do nas do Ujaru. Koło południa umówionego dnia pod baraki podjechał samochód marki "Gaz". Był załadowany darami. Wsiadł z niego delegat ambasady Rzeczypospolitej, pan Józef Mieszkowski. Pan Mieszkowski był bardzo zdziwiony, zym w jakich warunkach my żyjemy, mała izba, jedna prycza i drewniana ławka. Gdy dowiedział się, że mieściło się tutaj 10 osób, nie chciał wierzyć. Ubiecał interwencję u miejscowych władz, nie przyniosła ona jednak skutków. Delegat rozmawiał z ojcem, o mamie jej chorobie, powiedział, że przywiózł trochę lekarstw. W tym czasie ja z młodszym bratem biegaliśmy od zeszłańca do zeszłańca i zwoływaliśmy zebranie u Pawelskich. Z goszczeniem ambasady przedstawiciela, były kłopoty, nie mieliśmy ani stołu, ani talerzy. Pan Mieszkowski okazał się wyrozumiały. Jadł z miski blaszanej, siedząc na jedynej ławce jaką dysponowaliśmy. Delegat powiedział, aby tata napisał podanie do ambasadora o umożliwienie nam wyjazdu do któregoś z zachodnich krajów. Pod dyktando ojca podanie pisał ja. Pamiętam, jak pan Mieszkowski powiedział, że w krótkich słowach zawarto wiele treści. Na zebraniu nie byłem, ale ojciec opowiadał, że ktoś tam miał zarzuty do taty pracy, jako męża zaufania. Sprawa się wyjaśniła i więcej nieporozumień nie było. To co dostaliśmy do podziaku, swoimi rozmiarami przekraczało to wszystko co już dostaliśmy. Każda rodzina dostała b. dużo odzieży i obuwia, spore ilości konserw, sproszkowane zupy, mleko, cukru, mąki, do tego doszło mydło, no i były lekarstwa. DO leków dołączone był wykaz nazw i przeciw jakiej chorobie jest stosowane. Niestety leków przeciw gruźlicy nie było. Nie mogli tego nie zauważyć Rosjanie, zdażały się przypadki głośnego niezadowolenia. Słyszało się jak Rosjanki mówiły, że Polacy nie idą do wojska a dostają odzież i żywność.

Trzeba wiedzieć , że większość rosyjskich rodzin głodowała podobnie jak my i nie można było się dziwić tym wypowiedziom. Tata zajął się organizowaniem szczepienia wszystkich Polaków, przeciw tyfusowi. Szczepionki otrzymaliśmy jako dary z USA, trzeba było z miejscową władzą sanitarną dogadać się, gdzie i kiedy i kto będzie wykonywał szczepienia. Nie było żadnych problemów, ustalono dzień szczepień. Obsługę medyczną zapewnił szpital, a myśmy dali szczepionki. Szczepienie odbywało się u Pawełskich. Przeprowadzane one były 2-3 krotnie, trochę tych szczepionek zostało i tata przekazał je dyrektorowi szpitala, który za nie serdecznie ojcu dziękował. Tak więc u schyłku lata 1942r byliśmy odżywieni, ubrani , umyjni zabezpieczeni przed tyfusem. Trzeba wiedzieć , że od czasu wyrzucenia nas z domu , nie kupiliśmy ani kawałka mydła, gdyż tutaj czegoś takiego nie sprzedawano. Gdy u kogoś stwierdzono tyfus, zabierano wszystkie rzeczy, ubrania do miejscowej łaźni, umieszczano ją w wozobojce. Nikt nie myślał o jakimś tam mydle. Nasi sąsiedzi-Rosjanie mówili, że przed wojną też było u nich mydło. Mąż zaufania wysłał rozliczenie z darów do ambasady w Kujbyszewie, razem z informacją o szczepieniu polskich zesłańców. Pan Mieszkowski będąc u nas powiedział, żeby przygotować fotografie, które będą potrzebne do paszportu. Miał chyba nadzieję, że uda mu się nas stąd wydostać. W Ujarze był zakład fotograficzny i ze zrobieniem zdjęć nie było kłopotu. Gorzej było z mamą, ona nie wstawiała już nawet za własną potrzebą, ale gdy trzeba było zrobić fotografię, aby móc stąd wyjechać, to potrafiła znaleźć w sobie tyle energii, aby pójść do fotografa, trzymana przez córki i przeze mnie przeszła drogą do zakładu i z powrotem, razem ok. 2km. Później pod koniec 1942r doszły do nas wiadomości, że pan J. Mieszkowski został aresztowany.

Ojciec był kilkakrotnie w Krasnojarsku, ale z delegatem już się nie widywał. Dni biegły a z ambasady w Kujbyszewie nie przychodziły paszporty, nie było też w tej sprawie żadnych informacji, ojciec stracił nadzieję na wyjazd i żyliśmy codziennymi kłopotami i sprawami. Przez pewien czas dzieci polskie nie chodziły do tutejszego przedszkola, ale otrzymywały stamtąd wyżywienie, często były to ziemniaczane placki. Była to duża pomoc, tym bardziej, że dary się już kończyły. "adchodziły "normalne " dni, ta normalność to poprostu głód. " Teraz ludzie coraz częściej sprzedawali darowane rzeczy, aby kupić wiadro ziemniaków. Tosia mleko dostawała tylko w lecie, tak więc tą drogą nie mogliśmy już zaopatrywać mamy w mleko. W sąsiednim baraku mieszkała rodzina Tatarów, która miała krowę, od nich kupowaliśmy mleko. Była to bardzo porządna rodzina. Ich synek chodził z zakrytą głową, to znaczy miał taką makę mykę, nazywaną przez nich jermiołka. Jesienią chodziłem z moim młodszym bratem na kołchozowe pola i zbieraliśmy kуска pszenicy. W baraku po wysuszeniu wykrusza-aliśmy z nich ziarna. Zbierając cały dzień, można było zbierać do 1kg pszenicy. Pewnego dnia wszystkich zbieraczy otoczyli żołnierze i otoczyli nas. Pamiętam, że jakiś komandor mówił, że to kradzione i nie można trogać - nie wolno ruszać bo państwowe. Byliśmy zli, gdyż zabrali nam wszystko. W domu powiedzieliśmy wszystko, tata rzekł, że żołnierze zajmują się zabieraniem dzieciom kusek, przecież gdyby nie te dzieci to , to wszystko by zgniło. Zbierane wcześniej ziarna wymieniliśmy w miejscowym młynie na makę. Pod koniec pracy u Tosi w gospodarstwie, gdzie kierownikiem był porządny człowiek - Rosjanin - Łobanin, robotnicy dostawali ziemniaki. Otrzymała je również i nasza siostra. Łobanin dał konia i Tosia przywiozła trzy worki ziemniaków. Byliśmy bardzo szczęśliwi, miała to być nasza żelazna porcja

na okres zimowy, miała stanowić uzupełnienie głodowych racji chleba. Nasza kwatera mieściła się na piętrze, tak więc nie było gdzie tych ziemniaków przechowywać, na parterze mieszkała też polska rodzina w takiej jak nasza kwatera z piecem chlebowym, była tam też piwnica. Za zgodą Wieńców (bo tak się nazywali), umieszciliśmy w piwnicy 2 worki ziemniaków. Wieńców miał dużą rodzinę 7-8 osób w tym troje małych dzieci. Nasza mama była coraz słabsza, nacieranie piersi pianem jaki dostaliśmy nie dawało żadnych rezultatów, trzeba było ją teraz karmić, gdyż sama nie mogła się żywić. W Wigilię Bożego Narodzenia o godzinie 6 wieczór, nasza mama zmarła. Odeszła do tego, który w ten wieczór przychodził do ludzi. Trzeba było myśleć o podrzebie. Tata załatwił trumnę i krzyż. Kopaniem grobu zajął się Staszek i kilku sąsiadów. Mama pochowana została na cmentarzu na który nie tak dawno, na wieczny spoczynek odprowadziliśmy naszą Bronię. Był to trzeci pogrzeb w naszej rodzinie w ciągu 2 lat, od wyrzucenia nas z domu. Kilka dni po podrzebie byliśmy na cmentarzu, z trudnością odnaleźliśmy grób mamy, nie było krzyża i sam grób był rozrzucony nie było usypanej mogiły, kto i dlaczego to zrobił, nigdy się nie dowiemy. Ten wandalizm bardzo w domu przeżyliśmy. Nie mogliśmy zrozumieć, że ktoś mógł i śmiał zbeszczyć mogiłę i krzyż zmarłej osoby. Zima była w pełni, trzeba było myśleć o opale, teraz tylko Józia pracowała w cegielni i przydziały węgla nie wystarczały. Trochę węgla też dostawał Staszek, w tych warunkach uzupełnić trzeba było opał we własnym zakresie. Chodziliśmy daleko za Ujar i przywoziliśmy na sankach powycinane młode brzoźki. Kiedy jechaliśmy, przejeżdżaliśmy zawsze obok cerkwi, tzn. kiedyś cerkwi, teraz ruiny, okna zabite deskami. Razem z chłopakami

robiliśmy dziury w ogrodzeniu cegielni i tak kradliśmy drzewo. Dużą pomoc mieliśmy od Tosia, której kierownik dał wóz i konia, i atak jeździliśmy do lasu po drzewo. Jednak kiedy wystraszyliśmy się wilków, przestaliśmy jeździć po to drzewo. Obok baraków biegły tory kolejowe na których parowozy zmieniały kierunek, chodziłem tam z bratem i często znajdowaliśmy bryły węgla. Z czasem podchodziliśmy coraz bliżej kolei i kradliśmy ten węgiel, w worku przynosiliśmy do domu. W tym czasie na kolei sprzedawano stare podkłady, nasz Staszek jako, że pracował na kolei kupił dość sporo tych podkładów. Były one bardzo użyteczne jako podpałka. Z Krasnojarska nie dostawaliśmy teraz żadnych darów żywnościowych. Głód panował we wszystkich polskich rodzinach, poszliśmy do Wieniławów po nasze ziemniaki. Wielkie było nasze zdziwienie, gdy okazało się, że ani Wieniławów ani ziemniaków nie ma. Iza otwarta, nie ma śladów po ich mieszkańcach. Nic nie wskazywało na to, że dla kilku wiader ziemniaków zrobią z siebie ludzi niewiarygodnych, że uciekną jak zwykły złodziej. Głód jest bardzo złym doradcą. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że uciekli do Kańska, tj. jeszcze dalej na wschód. W 1945r w Lublinie spotkałem Wieniławę-ojca i tego najstarszego syna, bardzo mnie przeproszali za to, co się stało w zimie 1942-1943. Żyliśmy wyłącznie na otrzymywanym na kartki chlebie. Było nas teraz razem sześćcioro, ojciec, ja starszy i młodszy brat, Józia, ~~Tosia~~. Mieliśmy razem ponad 2kg. chleba, a że był on gliniasty, toteż porcje były małe. Tata poszedł do pracy jako cieśla, dostał 200-300gr chleba więcej. Niedługo potem Józia zwolniła się z pracy w cegielni i zatrudniła się w elewatorze, w nadzieji, że tutaj będzie lepiej. Jednakże, musiała tu dźwigać ciężkie worki ze zbożem i wcale nie miała lepiej. Po skończonej pracy, przechodzący przez bramę robotnicy byli

rewidowani, tak, że Józia nie mogła przynieść do domu ani trochę  
ziarna. Wazsa Tosia przeniesiona została do pracy w Ujarze w  
rzeźni, do dziełku oczyszczania kiszek, robota w wodzie ale lże-  
jsza niż w cegielni. Nie wiem jaką drogą, ale tata otrzymał wia-  
domość, że ma przyjechać do Krasnojarska. Pojechał sam. Przywiózł  
trochę kocy, dowiedział się, że to są ostatnie dary jakie pra-  
cownicy delegatury mogą wydać. Uzyskał tu informację, że pan  
Mieszkowski został aresztowany. Koce zostały rozdane wszystkim  
rodzinom. Toteż zdziwiliśmy się gdy zgłosiły się 2 osoby nie  
znane nikomu i które twierdziły, że są Polakami i od dawna mie-  
szkają w Ujarze. Po ustaleniu danych personalnych, tata wydał  
im po jednym kocu, zdziwiony, ale wydał. Na pytanie dlaczego do  
tej pory nie dali znać o sobie, że tutaj żyją, nie doszaliśmy  
odpowiedzi. Po godzinie przyszedł jakiś mężczyzna i też mówił,  
że jest Polakiem, że przyszedł po koc. Tata zaczął go dokładnie  
wypytywać. Okazało się, że był tu w Ujarze zegarmistrzem. Po ta-  
rgach ojciec wydał mu koc. Był teraz pewny, że są to polscy Żydzi  
którzy tu mieszkają. Dopóki stosunki polsko-radzieckie były  
znośne siedzieli cicho, nie przyznawali się do polskości, teraz  
gdy gen. Anders wyjechał z Rosji wraz z żołnierzami i kiedy  
komuniści Wasilewka i spółka zaczęli coś tam w Moskwie orga-  
nizować, zamieszkali w Ujarze Żydzi przypomnieli sobie o swojej  
polskości i przyszli po koce. Do tej pory liczym się nie zdrad-  
zali, że do wojny mieszkali w Polsce. Jeden z nich był nawet  
kierownikiem klubu należącego do cegielni, czasem chodziliśmy  
tam do kina, rozmawialiśmy po polsku kiedy on kontrolował bile-  
ty wstępu, też do tej pory nie przyznawał się do tego, że jest  
z Polski i mówi po polsku. W następnych dniach przychodzili da-  
lsi po te koce. Jedna Żydówka zaczęła nawet ojcu grozić. Gdy  
jednak okazało się, że nazywa się tak samo jak mężczyzna który

koc już zabrał, ojciec nie dał jej i powiedział, aby nie przychodziła już więcej, bo nic nie dostaną. Po ostatnim incydencie, Żydzi nie przychodzili więcej do nas. Nadchodziła wiosna 1943r. Nastąpiło pogorszenie odnoszenia się miejscowych władz do Polaków, teraz tata już nic nie mógł załatwić w urzędach. Również stosunek niektórych Rosjan zmienił się, pokazywali palcem: wot Polacziok, dawaj rabotaj. Nie wiedzieliśmy o co chodzi, żadnych informacji nie mieliśmy. Pewnego wiosennego dnia tata dostał wezwanie do NKWD, poszedł wczesnym przedpołudniem, a wrócił dopiero na trzeci dzień po południu. Pierwszego dnia nie chodziliśmy się dowiadywać, myśleliśmy, że zaraz wróci, noc upłynęła niespokojnie. Na drugi dzień Staszek poszedł i się dowiedział, że "przyjdzie damoj". Dopiero gdy przyszedł do baraku, opowiedział o co chodziło. Przez ten cały czas przesłuchiwali go i rzędzali aby podpisał dokument sowieckiego obywatelstwa. Przez tłumaczenie mu, że i tak będzie sowieckim obywatelem, bo takie prawo. Nie wiem, czy tata coś tam podpisywał, ale wiem, że żadnego paszportu do domu nie przyniósł. Wzywano też innych Polaków, tata tłumaczył im, że nie mają się martwić sowieckimi paszportami, że przyjdzie czas to wrócą do Polski. Po pewnym czasie sprawa paszportów ucichła, a każdy pracował na swoim miejscu. Chyba w kwietniu 1943r dowiedzieliśmy się, że zostały zerwane stosunki dyplomatyczne pomiędzy Sowietami a rządem polskim. Niestety nic nie wiedzieliśmy o przyczynach tego stanu rzeczy. Tata był niespokojny, pilnował swojej pracy i mało z kim rozmawiał. Wszystkie kopie dokumentów, do Krasnojarska, o dostawach zostały związane i zachowane u nas. W ten sposób mąż zaufania na Ujar, zakończył swoją działalność. Pewnego dnia Staszek oznajmił, że wyjeżdża do Nowosybirsk, gdzie w pobliskich kołchozach podobno nie ma głodu. Mieszkali tam Szelastowie, nasi sąsiedzi.

Jak postanowił, tak zrobił. Przez trzy dni stał pod okienkiem biletowym w Ujarze, czekał na możliwość kupienia biletów. Jak się potem okazało i tam było głodno i chłodno. W zimie 1943-1944, mieliśmy od Szelastów list, że Staszek zachorował na tyfus i zmarł. Zmarł także Franciszek Szelast, jechał on saniami i zmarł w drodze. Obaj zostali pochowani na tym samym cmentarzu. Staszek miał 33 lata. Do chwili wyjazdu nie chorował, lecz tak jak każdy z nas bał głodny. My nie znaleźliśmy przyczyny wyjazdu. Niebawem okazało się, że Marysia Łargosz jest w ciąży, a ojcem dziecka jest nasz Staszek. Może, gdyby tata o tam wcześniej wiedział nie dopuściłby do tego wyjazdu i w ten sposób być może uratowałby mu życie. Była to czwarta śmierć w naszej rodzinie. Teraz zostało nas w izbie pięcioro, Tosia mieszkała z Pawłem i Wisią. Przestała pracować, gdyż nie było z kim zostawić dziecka. Możliwe to też było dlatego, że Paweł pracował w mięsnej kombinacji i od czasu do czasu udało mu się coś ukraść do jedzenia. Pamiętam, że raz Tosia przyniosła kawałek kiełbasy. Była to pierwsza kiełbasa od czasu wywózkii. Było coś niesamowitego w tym, jak tata dzielił ją dokładnie, i jak szybko musieliśmy ją zjeść aby nikt nie wiedział, nie można było ryzykować, gdyż nawet zapach mógł nas zdradzić, co mogło narazić Pawła na konsekwencje. Robiło się ciepłej, głód panował straszliwy. Tosia mówiła że pracując przy kiszkach, miała czasami możliwość zjedzenia kawałka gotowanej wątróbki, nie było mowy o wyniesieniu czegokolwiek poza zakład, po pierwsze nie było co, po drugie były rewizje. Józia coraz częściej wyjeżdżała do pracy przy zbożu na południe. Tam gdzie była delegowana, pracowała z kobietami o azjatyckim wyglądem. Nie pamiętam jednak nazw miejscowości gdzie przybywała. Dowiedziałam się od rosyjskich chłopaków, że dostanie się kawałek chleba, jeśli wykona się pracę przy sklepie. Przeno-



siliśmy i układaliśmy deski. Niemo, że byłem chudy i miałem 16 lat, to z tymi deskami nieźle sobie radziłem. Po skończonej pracy sklepowa dała nam po całym kilogramie chleba, bez kartek. Musiałem ojcu wyjaśnić skąd go mam. Pewnego dnia brat Alojzy zapytał, czy dzisiaj coś jedłem. Bywały dni, kiedy nie było chleba w sklepie na kartki. Powiedziałem, że nie, kazał mi czekać. Gdy wrócił, przyniósł średniej wielkości główkę kapusty, sam stwierdził, że jedną taką już dzisiaj zjadł. Nie pytałem skąd ten skarb ma. Kapustę zjedliśmy szybko, była świeża i słodka. Zdażyło się, że pewnego dnia Alojzy nie wrócił na czas do domu. Było już późno i go nadal nie było. Jednak po chwili słuchać było kroki, okazało się, że wrócił Alojzy niosąc na plecach pół worka ziemniaków. Domyslałem się, że pochodzą z tego samego źródła co kapusta, wstaliśmy wszyscy, siostry ugotowały trochę ziemniaków i dopiero wtedy poszliśmy spać. Brat wyjaśnił, że był nieopodal miejscowej restauracji gdy przywiezli tam ziemniaki, on i kilku innych chłopców pracowali przy ich rozładunku i wnoszeniu, za tę pracę dostali te ziemniaki. Przy okazji wyjaśniła się sprawa kapusty, dostali ją też za pracę, więc nie była kradziona, ale mnie wtedy było wszystko jedno, ważne, że mogłem coś zjeść. Wszyscy uważali, aby coś gdzieś wykombinować, ukraść aby zjeść, zjeść aby przetrwać, przetrwać w nadziei, że kiedyś to się skończy. Powiedziałem ojcu, że chcę iść do roboty aby dostać więcej chleba. Napisałem do rzeźni, gdzie podobno przyjmowali do pracy przy budowie magazynu. Ojciec zaniósł i okazało się, że jutro mam iść do roboty. Tutaj jakiś majster powiedział mi, że mam zwozić cegłę. Były tu dwie polskie dziewczyny, niebyłem więc sam. Praca polegała na tym, że mieliśmy z cegielni usytuowanej nieopodal rzeźni, zwozić cegłę, konia nie było.

Siłą pociągową byliśmy my. Odległość od miejsca składowania do miejsca przeznaczenia wynosiła ok. 400m. Praca przy wyładunku i załadunku nie była ciężka, zwłaszcza, że nikt nas nie pilnował. Po załadunku cegły mogliśmy odpoczywać. Teren nie był równy, najgorzej było pchać pod górkę. Po tygodniu tej pracy kazano mi przywieźć piasek. Dostałem wóz. Kiedy go wyładowywałem, nadszedł majster wędliniarni, i zapytał, czy nie chcę u niego pracować. A kto by nie chciał!. Kazano mi tutaj rozbierać półtusze świń, i inne gatunki mięs. Trzeba było półtuszę przynieść z magazynu, na plecach odległego o kilkadziesiąt metrów. Od takiego ciężaru nogi się pod mną uginały, rzucało mnie, ale zawsze doniosłem do miejsca. Nie miałem żadnego przygotowania do tej roboty, nie wiedziałem jak się do tego zabrać. Majster kazał tutaj Rosjanom pokazać mi jak się co robi. Udawałem, że już coś nie wiem, ale szło mi bardzo opornie. Byłem za słaby i niestety nie radziłem sobie. Najgorzej było z poderwaniem łopaty, trzeba było do tego siły, a ja jej nie miałem. Z tego powodu zamiast ją odrwać, to prosto obrzynałem nożem mięso. Nie uszło to uwadze majstra i po tygodniu odsłał mnie na budowę. Pożytek z tego był taki, że zjadłem kilka razy kawałek surowego mięsa. Ciepłe dni upływały, każdy z nas pilnował swojej pracy, NKWD-też. Moim największym zadaniem było wystawanie, nawet po nocach w kolejce po chleb. Trzeba było tej kolejki pilnować, nawet jeśli ktoś wyszedł z niej na chwilę, nie był później wpuszczany. Szczególnie odnosiło się to do małych jak ja chłopków. Kiedy sklep otwarto, następował szturm do lady, i kto nie trzymał się swojego poprzednika, często wypadał z kolejki i nie pomagało żadne tłumaczenie. Zdażało się, że kto chleba nie wykupił, to na drugi dzień już go nie dostał, mówiono "dzień prażył, za ciem tobie chleb?". Nie wiem, czy było to zarządzenia władz, czy takie widzimy

sklepowej. Ona przecież też miała władzę, była po tamtej stronie ludy. Teraz kiedy pracowałem, rolę zaopatrzeniowca spełniał nasz najmłodszy brat, Alojzy. Był on odważniejszy ode mnie i nie dał sobie zabrać chleba przez czekających pod sklepem żulików. Mnie parę razy zabrali kawałki chleba. W niektórych dniach tych żulików było kilku, ja byłem sam, tata chodził do młyna, Tosia i Józia pilnowały swojej pracy. Bieda nas nie opuszczała. Chleba nie było na tyle, żeby się raz porządnie najęść. Toteż wszystkie tematy rozmów sprowadzały się do tego, co będziemy jutro jedli. Na takich to przyziemnych sprawach upływały dni. Pewnej nocy, majowego dnia o godzinie 12,1, usłyszeliśmy głośne pukanie do naszych drzwi, po chwili weszły trzy osoby, dwóch wysokich rangą oficerowie NKWD, oraz jeden cywil. Nie było dla nich miejsca, więc musieliśmy wstać z podłogi, ubraliśmy się. Niczego złego nie przewidywaliśmy. Rosjanin nic nie mówił, cały czas stał jak trusia w kącie izby, NKWD-ci siedli na ławce. Widac było, że się im nigdzie nie spieszyło. Zapytali "kak żywiotie?". Nie było odpowiedzi. Jeden z nich zapytał ojca "wy dowiernyje lico? na Wjarski rejon?". Tata nie wiedział o co chodzi. "alej mówił" budiem diełat rewizju". Tata był niespokojny, ale panował nad sobą. "kazali dać dokumenty. Tata dał paszport, ten wystawiony jeszcze na Zimowej +eji. Po obejrzeniu odłożyli go na bok. Teraz zaczęli szukać. Na oknie stało pudełko w którym były zdjęcia jeszcze z "Podchajec", oglądali wszystkie, te gdzie byli żołnierze, nasz Alek i Olek służyli przed i w czasie wojny w 1939r w wojsku. Te zdjęcia odkładali na bok. Na samym dnie pudełka były pieniądze w banknotach i srebrach. Samych monet było w wartości 700 złotych, nie raz je oglądaliśmy. Pieniądze te były własnością naszego brata Franka, który pozostał w Podchajcach w szpitalu. Były to jego oszczędności. Przed wojną pracował on jako kierownik filii kółka ro-

lniczego apotem jako kierownik sklepu w Podchajcach. Na widok srebrnych monet, jeden z oglądających je intruzów powiedział: nieźlia trzymać srebrnych dienięg, że należało je oddać gosudarstwu. Tata powiedział, że są to pieniądze syna, a wtedy trzeba było wyjaśnić gdzie on jest. Gdy skończyli sprawę z pieniędzmi i zdjęciami, zaczęli przeżucac nasze bagaże, kazali rozkładać pościel, rzeczy a nawet garnki. Na piecu poukładane były dokumenty za czasu, kiedy tata był mężem zaufania. Pooglądali je i odłożyli na bok. Kiedy splądrowali całą izbę, zapytali, czy nie mamy innego pomieszczenia, otrzymali odpowiedź, że mamy komórkę. Jeden z NKWD-tów, poszedł tam ze mną i Tosią. Poza drzewem nie mieliśmy w komórce nic. Drzewo kazał przekładać na drugą stronę. Kiedy podnosiliśmy ostatnie szrewo, nie wiadomo po co NKWD-ta powiedział: "charaszo rabotajetie". Ten drugi powiedział do ojca: sobirajtie, pajedietie z nami". Tata ubrał się, wziął czapkę, przycisną nas do siebie i bez słowa wyszedł. Za nim wyszli NKWD-ci, zabierając dokumenty, fotografie i wszystkie pieniądze. Dopiero teraz zrozumieliśmy co się stało. Wybiegłem za nimi na drogę, aby zobaczyć gdzie go prowadzą. Na drodze do miejscowego NKWD, nie było ich widać. Wróciłem do izby, płakaliśmy, nie mogłem już spać, byliśmy przygnębieni i wystraszeni. Rano któraś z sióstr, poszła na NKWD, ale niczego się nie dowiedziała. Dowiedzieliśmy się jednak, że został zabrany, tak jak nasz ~~tata~~ Jan Pawelski, natomiast Kochan był nadal w swojej kwaterze. Jeszcze w tedy nie wiedzieliśmy, że bezpośrednią przyczyną aresztowanie naszego ojca i Pawelskiego, był donos na NKWD właśnie owego Kochana. Jak mi mówił, już po wojnie Staszek Kłysz, ten człowiek właśnie który był z nami jeszcze na Zimowej Teji, Kochan, doniósł na NKWD, że tata mówił o Polsce, o powrocie do ojczyzny po skończonej wojnie. Chciał się zemścić na ojcu za to, że Zosia wyszła za mąż za Jankowa, a nie

za niego. Z dalszych wypadków wynikało, że NKWD czekało tylko na jakiś pretekst, żeby ojca aresztować, zrobili to przy najbliższej okazji. Przeczucie ojca, że na aresztowaniu pana Mieszkowskiego nie skończy się, sprawdziło się. Ustaliliśmy w domu, że trzeba iść do młyna powiedzieć, że tata nie przyjdzie do roboty i dlaczego. Po co podjeliśmy taką decyzję, nie umiem dziś powiedzieć. Kiedy zeszliśmy się w naszej izbie już wszyscy, przyszła Gosia z Wisią i Pawłem. Płakaliśmy. Trzeba było jednak myśleć o dniu jutrzejszym. Alojzy poszedł w kolejkę po chleb, okazało się, że NKWD nie zabrało ojca kartek, w ten sposób przez parę dni, mieliśmy więcej chleba. Któregoś dnia Branek Pawelski, brat aresztowanego Jana, powiedział mi, że chodził do NKWD, ale nic się tam nie dowiedział, powiedziano mu tylko: "prijdiet wremia-uznajetie". Potem my próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć w miejscowej prokuraturze, żadnych informacji nie dostaliśmy. Rozumieliśmy, że nigdzie się nic nie dowiemy, myśleliśmy teraz co będzie z ojcem no i z nami, mijaly dni i tygodnia, a żadnej wiadomości nie było. W izbie późną jesienią 1941r było nas 9, teraz zostało nas 4, Kiedy szliśmy w trójkę do roboty, to zostawał tylko Alojzy, a kiedy musiał wychodzić do kolejek w różnym czasie, nasza izba pozostawała bez żadnej opieki, gdyż w drzwiach nie było zamka. Chłopców w moim wieku było tutaj więcej, jednak nie wszyscy od razu dostali pracę poza cegielnią. To, że mnie tu przyjęto, było na początku zagadką, później sprawa się wyjaśniła. Otóż krążące dotąd plotki, że mężczyźni pójdą do polskiego wojska, zaczynało nabierać realnych kształtów. Pracujący przy koniach Polacy byli wzywani do miejscowego wojenkomata, tutaj spisywane były ich personalia, dyrektor rzeźni wiedział o tym i już zabezpieczał sobie nowych robotników. Nie pamiętam dokładnej daty, ale pod koniec maja 1943r wszyscy mężczyźni w wieku 18-50 lat,

zostali powołani do wojska. Byłem przy tam, kiedy w wyznaczonym dniu zebrali się oni obok budynku, koło stacji kolejowej. Stało tam kilka wagonów kolejowych w niektórych byli już ludzie, którzy jechali z dalej na wschód położonych miejscowości. Naszych było ok. 40. Komendę nad zebranyimi objął "ranek Kłysz, który służył jakiś już czas w sowieckim wojsku. Na stację przyszły też rodziny. Po pożegnaniu się, poborowi weszli do wagonów, nie długo potem pociąg ruszył. Razem z nimi pojechał nasz szwagier Paweł. Na miejsce tych co poszli do wojska, nie było wielu mężczyzn, toteż nawet takich mizerot jak ja, nie odsyłano do domu. Zmobilizowanie Polaków wpłynęło na poprawę pracy, teraz nie spotykało się różnych docinków na nasz temat. W domach zesłańców nastąpiła zmiana na gorsze. Zostali bowiem starsi mężczyźni, nieletni chłopcy, dzieci. Rodziny pozbawione były żywicieli i opiekunów. Do pracy chodziły wtedy dzieci. "to twirdzi, że dzieci zesłańców nie pracowały, to poprostu kłamie. Jednego razu spotkał mnie na budowie naczelnik transportu, u nich to co drugi to jakiś naczelnik. Otóż zapytał on się mnie: "możesz ty zaprawiet konia?". Mogę, powiedziałem bez namysłu, kiedy jednak przyszło do zaprzęgnięcia konia, okazało się, że nie za bardzo sobie z tym radzę. Byłem mizernym, nie wysokim chłopcem, koń natomiast wydawał mi się bardzo wysoki, tak naprawdę konia nigdy nie zaprzęgałem, myślałem, że to nic trudnego. Z biegiem czasu nie miałem z tym kłopotu, Na drugi dzień otrzymałem przydział konia i wozu (takiej platformy), ja i 4 Rosjan mieliśmy jechać do tajgi i zwozić drzewo ułożone w różnych częściach lasu, na jedno składowisko. Mieliśmy 5 koni, w tym "rosjanin inwalida bez palców w prawej dłoni, miał być gospodarze, ale konie pasły się przez całą noc i człowiek ten nie miał tu nic do roboty. Tego dnia otrzymaliśmy przydział chleba na cały tydzień na przód. Dostałem cały chleb,

i to dobry. Pojechałem jeszcze do baraku i poinformowałem , że jadę do tajgi i nie wiem kiedy wrócę. W domu pozostał mój młodszy brat, Józia i Tosia o ojcu dalej nic nie wiedzieliśmy. W odległości ok. 10km od Ujaru była mała wioska Suszeńka. Tam konie odpoczęły i jazdę dalej. 4a dnia dojechaliśmy na miejsce. Był tu mały domek i zbóżka w której mogło się pomieścić do 8 osób. Podłogi ani kółek nie było. Spaliśmy na obitej ziemi, miałem ze sobą koc, na noc rozbierałem się, Rosjanie spali w ubraniach. Zaraz z zana rozpoczęliśmy pracę. Z odległej stąd o ok 7km wioski, przyszły do pomocy 4 Rosjanki. Rosjanie mieli lepiej wyposażone w wozy, miały one drabinki , boczne deski. Dzięki temu mogli oni lepiej ułożyć drzewo i nie spadało one z wozu. Moja platforma nie miała tego zabezpieczenia i nie mogłem ładować tyle co oni. Od pierwszego dnia pracowaliśmy bez przerwy obiadowej, ok. 10 godzin, po skończonym dniu pracy konie pasły się, nikt ich nie pilnował. W pierwszych dniach po pracy, nie mogłem bez wysiłku poruszać rękami i nogami, wszystkie mięśnie bolały mnie okropnie. Po wyczyszczeniu konia zjadłem kawałek chleba z kipiátkom, kładłem się na swoim barłogu i odpoczywałem. Po kilku dniach dolegliwość ta zniknęła. Złościło mnie to, że na lesnych wertepach drzewo spadało mi z wozu i musiałem tę robotę wykonywać 2 razy. Wyżywienie dostawaliśmy na cały tydzień. Oprócz chleba, Rosjanin który miał się opiekować końmi, miał wziąć jakąś żywność, ale co to było to nie wiedziałem i nie widziałem, bo nikt nic nie mówił, Okazało się już na miejscu, że miał on trochę solonej wątróbki. Pierwszego i drugiego dnia dostawaliśmy po troszku tej wątróbki, trzeciego dnia przyjechał tu sam naczelnik transportowo odzieżka-Garszkow, Zobaczył jak pracujemy. Oczywiście mój stos był najkrótszy, on wiedział jaki mam wóz, i nic nie mó-

mówił, gdy po pracy wróciliśmy do swojej kryjówki, okazało się że naczelnik wyjechał i skończyła się wizyta. Moi towarzysze Rosjanie siarczyście klnęli, okazało się bowiem, że do końca pobytu tutaj nie dostaliśmy nic poza przydziałowym chlebem. Pracując 10 godzin dziennie, a dostając 300gr chleba, to mało. Rosjanie dostawali takie same porcje, nie różniliśmy się tu niczym, chyba tam, że rano ja chodziłem do pobliskiego źródła i myłem twarz i czesałem się, oni tego nie robili. Swoją podzieloną porcją chleba zjadałem rano z kapiatkiem, w czasie pracy bez, po pracy znowu z kapiatkiem. Rosjanie jedli w pracy i po pracy. Nasze pomocnice przychodziły codziennie ze swojej wsi i w czasie przerwy siadały w kobiecym gronie i zjadały swój chleb. Po 10-14 dniach tej pracy, choć nic mnie nie bolało, spostrzegłem, że w połowie dnia roboczego, byłem coraz słabszy. Martwiło mnie nie to, że muszę iść do roboty, ale to, żeby mi się znów nie zrobiło słabo. Pewnego dnia Rosjanin - Malutin, nie pracował do końca i zjechał do izuski nic nie mówiąc. My też, pozwoziwszy drzewo, zjechaliśmy z lasu. Siedliśmy przy ognisku, teraz Malutin powiedział, że nie mógł już pracować, gdyż poczuł się słabo. Nie zaprzeczyli temu też inni Rosjanie, ja pomyślałem, że nie jest ze mną tak źle, jeśli oni, starsi ode mnie odczuwają to samo. Praca wyczerpywała, podarły mi się spodnie i to tak, że miejscami było widać ciało, nie miałem ani igły, ani nici. Dlaczego Rosjanki nie pomogły mi, czy dlatego, że byłem Polakiem,? Nie odczuwałem tu absolutnie od nikogo, żadnej dyskryminacji. Do Ujaru nie było jak jechać, moi Rosjanie odradzali mi samotny wyjazd, gdyż stanę pod zarzutem "progółu" - bumelki, co to oznaczało wiedziałem. Jednego dnia przyjechały tu do nas z Ujaru trzy dziewczyny. Jedną z nich znałem, była to Józia Kłysz. Zoszały przysłane do pracy przy kószeniu i suszeniu siana.



Mieszkały u kogoś we wsi. Na moje szczęście Józia miała igłę i nici, doprowadziła moje spodnie do stanu używalności. Dowiedziałem się, że Tosia i Alojzy są zdrowi. Nasza Józia pojechała do wojska, tam gdzie pojechali mężczyźni. Pisał też nasz szwagier Paweł, Zosia i Tósia odpisywały mu. Siano kosi się nie bawem skończyły, a my zwoziliśmy drzewo. Jednego z młodszych Rosjan powożano do wojska. Mniej więcej raz na tydzień przywożono nam chleb, lecz tym razem w oznaczonym dniu miał przyjechać naczelnik. Minał wieczór nikt nie przyjechał. Poszliśmy głodni spać. Nasze konie zjawiły się koło naszej chatki, zebrały się głowami do przodu, chciałem je rozegnać, zrobiły dwa kroki i znów stamęły w kółko. Okazało się, że jak powiedział Malutkin "wołki podchodjat". "Nie stały nieporuszone obok budki, do rana. W pracy coraz dłuższe były postoje, 2 dzień nic nie jedli, śny. Po przybyciu do domku okazało się, że nasz "uma znalazł w szuwarach jadalną trawę. Po zciągnięciu zewnętrznej warstwy, był miąższ, który dał się ugotować. Pierwsze łyki znikają w żołądku, było mdłe, ale nie mieliśmy soli. Po zjedzeniu czułem tylko mdłości. Poszliśmy spać, spałem źle. Na trzeci dzień nie próbowałem nawet zaprzęgac koni, pomocnicy poszli do domu. Posileni trawą, pozostaliśmy ciągle patrząc na drogę, czy ktoś przyjedzie z chlebem. Pod wieczór przyjechał naczelnik. "Nie wiedział on żadnej potrzeby tłumaczenia się z tego, że 5 osób przez trzy dni nie miało nic do jedzenia. Oprócz chleba przywiózł jakieś solone żołądki. Jedliśmy. W tym czasie Garszkow poszedł do lasu zobaczyć owoc naszej pracy. Na drugi dzień odjechał. "Wszyscy chcieliśmy wrócić do Ujaru do swoich bliskich. Do Ujaru powróciliśmy biorąc ze sobą trochę drzewa, dostaliśmy też trochę wołnego. W sumie w tajdze byłem 1,5 miesiąca. "dziwiłem się bardzo gdyż w naszej izbie mieszkał ktoś inny, okazało się, że

rodzeństwo mieszka w innym baraku. Gdy wszedłem do nowej kwatery zauważyłem, że patrzą na mnie jakoś dziwnie. Przyznali się, że gdy mnie zobaczyli to wystraszyli się, tak byłem wychudły, oczy zapadnięte, obdarty. Spałem tu na skrzyni, gdyż nie było innego tu miejsca. Okazało się, że kiedy pracowałem w tajdze, Uózia była w Siedlcach nad Uką. Została tam skierowana przez miejscowy wojenkomand. Jednak w Siedlcach mieli już za dużo dziewcząt i odesłali ją z powrotem. Gdyby wiedziała, co ją czeka tutaj za rok, zrobiłaby wszystko, aby na Sybir nie powrócić. Po powrocie do Ujaru wróciła do swej roboty w elewatorze. Pracowałem teraz w gospodarstwie rolnym n. z. tutaj "Bazą". Pracowałem tutaj jako woznica, dowoziłem paliwo w blaszanych beczkach, zwoziłem zboże. Kosiliśmy tu proso. W tym czasie zmienił się kierownik gospodarstwa. Na miejsce jego przyszedł Estończyk-Syżuelmas. Rosjanie mówili, że to rozkułaczony Estończyk, nie był lubiany. Pewnego razu kazał mi iść z kosą kosić żyto. Nigdy się kosą nie posługiwałem. Częstołem kosić, prawie za każdym razem kosa wbijała się w ziemię, mordowałem się okropnie. Zobaczył to pracujący nieopodal Polak (Jackowski), podszedł do mnie i pokazał mi jak się kosą posługiwać. Po godzinie moja kosa nie wbijała się już w ziemię. Był tu kombajn ciągnięty podczas koszenia przez traktor, wjechał w nasze pole, zatrzymał się. Stał tu aż do późnej jesieni. Mechanik mówił, że nie ma wiec. Całymi dniami z kombajnistką - która nazywała się Szczerba, palili ognisko i wypalali świece. Raz zdażyło się, że urochomili maszynę, ujechali kilka metrów i historia powtarzała się. Widząc co się dzieje, kierownik kazał kosić ręcznie. Była tutaj stołówka, gdzie dostawaliśmy niezłe, jak na rosyjskie warunki obiady. Spałem z innymi chłopcami w opuszczonej swiniarni. Nie mieliśmy żadnych sienników ani pościeli. Po pewnym czasie stwierdziłem, że mam wszę. Po kilku dniach do

pracy na bazę przyszedł mój brat Alojzy. Nosił snopy w polu, później pasł barany i wykonywał inną robotę. Ważne było to, że dostawał obiad. "a niedzielę można było iść do Ujaru, korzystaliśmy z tego na zmianę. Dowiedziałem się, że Tosia była wzywana na NKWD, gdzie dostała jakieś pismo i była w Krasnojarsku. Był już październik czyli pół roku od aresztowania taty, z jej opowiadania wynikało, że była to rozprawa sądowa naszego ojca. Tak mówiła po latach: Bałam się gdy jechałem do Krasnojarska, bałam się gdy weszłam na salę. W chwilę potem został wprowadzony nasz tata. Ledwo go poznałam, był mizerny bardzo chudy. Boże, co oni z nim zrobili. Był skuty, dopiero na sali został rozkuty. Spytali go o nazwisko, i coś tam jeszcze. Zaraz potem pytano mnie ile mieliśmy w Polsce ziemi, ile koni. Pytania nie miały nic wspólnego z naszym pobytom w Ujarze, a dotyczyło naszego gospodarstwa w Mazurach. Trwało to bardzo krótko. Tatę wyprowadzili, mnie kazano jechać do domu. Z ojcem nie zamieniłam ani słowa. Jana Pawelskiego na sali sądowej nie było. W końcu listopada dostałam jakąś przepustkę, z NKWD i pojechałam do więzienia. Nie pamiętam jak się nazywało było przed samym Krasnojarskiem. Miałam prawo do widzenia się z tatą. Zaprowadzono mnie do sali, gdzie potem wprowadzili tatę. Był bardzo cudy, wydawało mi się, że staniał się na nogach. Płakałam. Gdy dałam mu trochę suszonych ziemniaków powiedział: "tylko tyle? Było mi bardzo przykro. Przecież nic więcej nie mieliśmy. Próbowaliśmy rozmawiać po polsku, ale pilnujący nas zabronił, kazał mówić po rosyjsku. "ytalam za co, i na ile został skazany. Nie odpowiedział na moje pytania, powiedział tylko: "do końca wojny wystarczy:". Miał nadzieję, że przetrwa i po wojnie wyjdzie z więzienia. Więcej nikt z naszej rodziny nie był na widzeniu. Nie pamiętam kiedy, ale chyba w marcu 1944r, kiedy już Rodek był w wojsku, dostaliśmy takie pismo, że Józef Gerlach zmarł. Nikt

nie był na pogrzebie, nie wiemy gdzie został i kiedy pochowany. Msza Święta za jego duszę została odprawiona dopiero po wielu latach w Polsce. Była jesień, noce były bardzo chłodne. Wami w chlewni nikt się nie interesował. Było nas 5-6. Pewnego dnia przyszła tutaj jakaś Rosjanka, zobaczyła jak spimy w jakich warunkach. Narobiła szumy, przyprowadziła jeszcze kilka osób, poszła do naczelnika bazy i coś mu tam nagadała. Od tego czasu nie spaliśmy już w tej chlewni. Ja z bratem ulokowany zostałem u Jackowskich. Rodzina składała się z 5 osób. Spaliśmy na podłodze. Chłopcy-Rosjanie ulokowani zostali u rodzin rosyjskich. Teraz zajmowałem się orką, umiałem to robić. Przyszła zima. Alojzego odesłali do Ujaru. Przyszedł dzień, że kierownik kazał mi iść do Ujaru do siedziby przedsiębiorstwa, tzn. do mięso-kombinatu. Tutaj przydzielono mnie do transportu. Byłem znów woznicą. Po pewnym czasie odebrano mi konia, a przydzielono byka roboczego. W grudniu 1943r i w styczniu 1944r jeździłem bykami po drzewo do tajgi. Odległość wynosiła 50km. Do drzewo jechaliśmy konwojem składającym się z 5-6-7 sań. Żadnego żywienia dla zwierząt nie braliśmy, my mieliśmy tylko to, kto co z domu wziął. Późnym popołudniem byliśmy w lesie w znanym mi miejscu w izbuszce. Już wiedziałem skąd będziemy brać drzewo. Przecież ja go tutaj zwoziłem. Tego samego wieczora trzeba było załadować drzewo. Wieczorem poszliśmy po siano, aby nakarmić byki. Był tu stróż, który mieszkał całą zimę w chatce. zaczął na nas krzyczeć, żeby położyć siano na miejsce, że to mie nasze. Pokazał nam to nasze. Ukazało się to słomą, bardzo twardą. Wracaliśmy z powrotem. Byki stawały, słabły. Pod koniec drogi, nie które byki poprostu kładły się na śniegu. Jednego dnia woziliśmy sól kamienną. Ładowaliśmy ją do beczek na stacji i wialiśmy do rzeźni.

Pewnego dnia kazano mo przyjs\_ w nocy. Miałem woziś wodę do ubojni. Po kilku dniach pracy kazano mō się zgłosić do wojenka-matu. Tutaj spisano moje personalia. Okazało się, że zmieniono przepisy i obniżono wiek poborowy. Wszyscy co ukończyli 17 lat, mieli iść do wojska. Ja 28 września 1943r skończyłem 17 lat. W lutym 1944r ponownie byłem w wajekamacie, był tu też Romano-wski, człowiek w wieku 60lat. Byliśmy badani przez lekarzy. Otrzy-maliśmy dokumenty na przejazd, prowiant. Dostałem też cos w ko-percie "etot plakiet oddasz w Sumach". Tak więc skierowani zosta-liśmy do polskiego wojska, które było organizowane teraz w Sumach na Ukrainie. Pożegnałem się z rodzeństwem i ruszyliśmy w drogę. W Krasnojarsku była jakaś polska placówka, do której poszliśmy. Dano nam tam trochę suszonych ziemniaków. Bardzo się one nam przydały. Na większych stacjach można było otrzymać na atest większy prowiant (chleb i zupa w prasowanych kostkach). W Kra-snojarsku Romanowski odwiedził swego syna, uczącego się w szko-le kadetów. Nie wiem dlaczego chodził on do sowieckiej szkoły, i nie jedzie z nami do Sum. Na jednej ze stacji dołączył do nas młody Polak. W Nowosybirsku nasza grupa powiększyła się o dalsze 2 osoby. Minęliśmy Ural. Dosiadło się kilku polskich Żydów, też jechali do wojska. Była nas teraz gromada. Nie pamiętam, gdzie ale pociąg stał na stacji między Ufą a Kujbyszewem, bardzo długo. Powiedziano nam, że pociąg pojedzie nocą. Na stacjach węzło-wych należało stęplować bilety. Robił to zawsze za wszystkich Romanowski. On to miał nasze dokumenty i bilety. Do odjazdu po-ciągu było pół dnia, Romanowski powiedział, że pojedzie przejs\_ się do miasta, Po godzinie pociąg ruszył. Pojechaliśmy bez dokume-ntów, Chcieliśmy dojechać do jakiejś stacji i tam poczekać na Romanowskiego. Niestety w pociągu kontrolowano dokumenty, nic nie pomogło nasze tłumaczenie. Kazano się nam ubierać, pod bronia

jak skazańców prowadzono nas do wojennego komendanta stacji. Zamknięci zostaliśmy w towarowym wagonie stojącym na podwórze, i pilnowani przez żołnierzy. Uzyskaliśmy tyle, że dostawaliśmy jedzenie i pozwolenie podchodzenia do nadjeżdżających wagonów w celu poszukania Romanowskiego. Wreszcie nadjechał, nie tylko nas uwolnił, ale odprowadził do pociągu. Po tej przygodzie każdy z nas dokumenty miał przy sobie. Którejś nocy dotarliśmy do Sum. Na stacji - egipskie ciemności, nie wiedzieliśmy dokąd iść. Dostrzegliśmy w końcu białą opaskę na rękawie dyżernego podoficera, który miał tu dyżer. Rano, ok 50 sybiraków, pomaszerowaliśmy do dość odległych koszar. Romanowski został odesłany do szpitala w Sumach, co się z nim później dzieło nie wiem. Było tu dużo Polaków, najważniejsze, że nie byłem na Syberii, miałem nadzieję, że niedługo będę już w Polsce. Kiedy czekałem na przydział umundurowania, myślałem, jak tam moje rodzeństwo które pozostało, poradzi sobie w życiu. Dla mnie syberyjska gehenna skończyła się 15 marca 1944r, w tym dniu dostałem mundur i przydział do jednostki. To tyle, ile można było zobaczyć oczami 13-17 latniego chłopca, to co zapamiętałem, starałem się bez upiększeń zanotować. Chcę na zakończenie podziękować mojej żonie Kazi i synowi Darkowi za okazaną mi cierpliwość i wyrozumiałość przez długie miesiące. Dziękuję też szwagrowi Antkowi Lorenzowi i jego żonie Broni za udostępnienie mi magnetofonu. Myślę, że dalszą lub bliższą rodziną wspomni tych co nie powrócili do rodzinnych stron, i pozostali na tej nieludzkiej ziemi na zawsze, im też za to dziękuję.

Postscriptum

Jak wspominałem na Syberii z naszej 10 osobowej rodziny, pozost-

stało 4 osoby. Z tej czwórki w 1944r Zosia urodziła córkę, Marysię, a to, że była żoną żołnierza, pomogło tak, że dostawała jakąś zapomogę, kartki na chleb, i była zabezpieczona przed śmiercią głodową. Mieszkała teraz z Tosią, Alojzym i Józią. Na początku 1945r Józia zachorowała miała gruźlicę, nie chodziła do pracy. W 1945r coraz częściej mówiło się wśród zesłańców o powrocie do Polski. Józia prosiła: tylko mnie nie zostawiajcie. Niestety chwili powrotu nie doczekała, zmarła jesienią 1945r. Pochowana została tam, gdzie wcześniej pochowano mamę, Bronię. Alojzy ciężko pracował. Jako 13-14 latni chłopak pracował po 10 godzin dziennie w cegielni. Tosia do powrotu do Polski pracowała w mięso - kombinacie, awansowała na majstra. Miała o tyle łatwiej, że nie była kontrolowana na bramie, wiedziała też o rewizjach i ostrzegała swoje pracownice. Na wiosnę 1946r powróciły z tego piekła trzy osoby, ja już wcześniej z wojskiem byłem w Polsce. Szwagier Paweł osiedlił się po wojnie we wsi Górzyn koło Lub ska. Żdażyłem jeszcze do Ujaru podać Zosi jego adres. Siostry i brat powrócili do kraju 1946. Tak zakończyła się przerażająca gehenna.